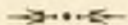


12

MICHNO KARAŚ.



OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA
Z CZASÓW BOLESŁAWA CHROBREGO

PRZEZ
JÓZEFA GRAJNERTA.



WARSZAWA.

Skład główny w Księgarni Polskiej.

Warecka 15

1903.

15

Дозволено Цензурою
Варшава, 23 Іюля. 1903 года.

L.

Wstępne słowo, i o tem, co się stało pod śniegiem i w chatynce pustelnika?

Wspominają dzieje, że zima 1000-go roku była niesłychanie u nas ostra, a śniegi tak wielkie pokryły ziemię, że najstarsi ludzie nie pamiętali takich zasp śnieżnych, jakie wówczas niby góry białe sterczały dokoła.

Było to w lutym. Mróz, który nieprzerwanie panował, zwierchnie warstwy śnieżnych zawałów okrył dość twardą skorupą, że po niej pieszej nodze jako tako przejść można było, tam zwłaszcza, gdzie po rzadkich wówczas drogach ujeżdżonego toru nie było.

Drogą bitą, dość wszakże utorowaną, wiodącą od Trzemeszna, wśród głuchej puszczy leśnej, która się rozgałęziała prawie pod sam Poznań, postępował starzec z długą, siwą bródą, w ubraniu zakonnem. Przygarbiony, podpierał się grubym kijem, w rodzaju oszczepu, zakończonym ostrem okuciem żelaznem. Może dla obrony od zwierza, a może dla pewniejszej podpory, opatrzył się w ten oręż starzec, któremu

ciemna, długa suknia, sznurem przepasana grubym, służyła za odzież całą. Czarna czapeczka z nausznikami okrywała mu głowę wypełzłą; na nogach, obwiniętych wołokiem, miał treпки drewniane z rzemykami, a na piersiach połyskiwał promieniem zimowego słońca krzyżyk miedziany, zawieszony przy różańcu.

Tak postępując zwolna i tuląc pod pachą kielich z blachy cynowej, nakryty patyną i białą szmatką, szeptał pobożne pacierze. Widocznie był z wiatykiem u któregoś ze świeżo nawróconych chrześcijan, których liczba od wprowadzenia przed 35-ciu laty Wiary świętej do Polski coraz więcej wzrastała.

Gdy się zakonnik zagłębił w puszcę i doszedł do małej zacisznej polanki, nagle przystanął.. Uszy jego uderzył jakiś jęk, jakby podziemny... Słucha i wyraźnie głos ludzki słyszy, przytłumione, jakby dziecięce biadania zpod śniegu. Spojrzał w stronę: ślady stóp ludzkich były widoczne; idzie za nimi, i tuż przed sobą rozpoznaje głuche dziecięce wołania o ratunek. O kilka kroków śnieg na zaspie załamany i zapadnięty daje mu wskazówkę, iż nieszczęśliwa istota ludzka w otchłań śniegową zapadła. Stawia kielich z wiatykiem na śniegu, i obchodząc ostrożnie zaspę, rzecze: „Idę, idę w imię Boga z pomocą!“ Rozpoczyna kosturem i rękami rozkopywać śnieg od spodu, i po pewnym czasie dobija się do nóg skulonego, zapłakanego chłopczyny.

— Dajże mi rękę, biedaczku! — przemawia i za chwilę wyciąga z jamy śniegowej zeszywniałego już

prawie od zimna chłopczynę, dwunastoletniego może. Zachęciwszy go starzec, by dla rozgrzania się bił mocno rękami pod pachy, podniósł z ziemi kielich, i chwyciwszy chłopca za dłoń, pobiegł z nim śpiesznie, o ile mu siły dozwalały, w dalszą głębinę leśnej puszczy. Po drodze dowiedział się od chłopca, że wysłany z uroczyska leśnego przez swego pociota, (wuj), do osady rybackiej nad Wartą, by ztamtąd ludzi zwołać na spalenie ciała jednego z wieszczów jogańskich, co w nocy umarł, wracał właśnie do domu i nieszczęśliwie, chcąc sobie drogę skrócić borem, zboczył z drogi i zapadł się w śniegu. Na zakonnika, zwłaszcza na błyszczący mu u piersi krzyżyk. patrzył jakby z lękiem, lecz spojrzawszy w pełną słodocy twarz i oczy jego, otrząsł się ze strachu i począł mu w podzięcie za ratunek pomarszczone dłonie rzewnie całować.

— Uważałem z twoich oczu, mój chłopcze. i z całego zachowania się twojego,—rzekł zakonnik, —iż mi niewiele ufasz i boisz się czegoś? Powiedzże mi, dlaczego?

— Bo, bo... nasi tam w puszczy powiadają, że wyście są czarowniki, co naszą starodawną wiarę niszczycie i nasze bogi palicie albo topicie.

— He, he, he, roześmiał się łagodnie starzec — czarownikami zwań nas chrześcijan w swej ciemnocie niesłuszn ; my wam niesiemy szczęście, zbawienie i prawdę, my was jak samych siebie kochamy. Czyż czarownik lub czart może to robić? By was ku jednemu, prawdziwemu Bogu nawrócić, wyrzekamy się

świata, żyjemy w nędzy, głodzie; my dla waszego dobra całe życie dajemy i z chęcią ginimy, by choć jedną waszą duszę zbawić i do nieba na wieczną szczęśliwość posłać.

— Niebo? a cóż za szczęście może być w tem niebie?—zapytał chłopiec.— My niebo nasze mamy na ziemi; nasze dusze za dobre życie idą po śmierci żyć w kwiatku, w pięknej drzewinie, w śpiewającym ptaszku.

— Mój chłopcze—odparł na to zakonnik—gdyś ciekawy tego chrześcijańskiego nieba i wiecznej szczęśliwości, to powiem ci o tem więcej w mojej chatynce, co ztąd już niedaleko do niej. Teraz pomyśleć muszę najpierw o twojem zdrowiu, bo widzę, że drżysz jeszcze i zębami jak w zimnicy szczękasz. Tam ci dam ziółek, byś nie zachorzał, i nie daj Boże, umarł w swem ciemnem pogaństwie.

Jakoż za kilka pacierzy doszli na wzgórze, gdzie stała małeńka, uboga lepianka. Przez drzwi wąziutkie i niskie weszli do małej sionki. Ztąd drugie drzwi podobne, z prostych desek zbite, wprowadziły ich do wnętrza chaty.

Była to raczej nora jakiegoś biednego stworzenia, niżeli mieszkanie człowieka. Niezgrabne, krzywo wzniesione ściany, niskie, polepione gliną, malutką bardzo przestrzeń obejmowały. Za podłogę służyła uklepana na tok ziemia. Otoczony kilkoma kamieniami polnemi, słaby ogieniek tlił się jeszcze w kątku, pieców bowiem i kominów jeszcze w one czasy nie znano. Małeńki stolik przy drugiej ścianie spoczy-

wał na dwóch ledwie z kory obdartych pieńkach. Przy nim ławeczka stała, oparta na kołkach w ziemię wbitych, a w rogu z liści suchych, niepokryte niczem, widać było postanie lichie jak barłóg, wyleżane i wąskie.

Gdy przestąpili próg izdebki, zakonnik umaczał palce w święconej wodzie kropielniczki glinianej, która przy drzwiach na ścianie wisiała, i przeżegnał się pobożnie.

— Oto moja biedna pustelnia, mój chłopcze — rzekł pustelnik — i w samą porę choć pod ten niski schroniliśmy się dach, bo oto słuchaj, jak tuż blisko nas wilcy śpiewają. Znać w ślady nasze pobiegli, lecz się, Bogu dzięki, spóźnili.

W samej rzeczy, tuż prawie za ścianą rozległo się przeciągłe wycie tych żarłocznych zwierząt. Pustelnik przyłożył garść chrustu na ogień, rozdmuchał go i za chwilę rozjaśniła się izdebka, w której, pomimo że dzień jeszcze był na dworze, prawie było ciemno. Okien o szybach szklanych nie znano jeszcze wtedy; w chatynce też okienko miało tylko w miejsce szyb cienkie deszczułki smolne, a oprócz tego małą okieniczką z wnętrza było zasunięte.

Przy rozpalonym ogniu chłopczyk rozgrzewał czerwone od mrozu ręce, których przykrótkie rękawy kożuszką nie osłoniły należycie przed zimnem. Dygotał też jeszcze całem przeziębniętem ciałem.

— Zaraz ci lipowych ugotuję ziółek, chłopczyku, musisz się oto położyć na tem z liści i mchu po-

łaniu, — mówił starzec — zapocić się i odpędzić zimnicę, boby się mogła w coś gorszego zamienić.

Przykrywszy chłopca drugą, starą, sutanną swoją, dał mu za chwilę osłodzonych kruszyną miodu ziółek. Chłopiec, otulony dobrze, zasnąwszy, zapocił się wkrótce. Spał może ze dwie godziny. Gdy oczy otworzył, ujrzał starca klęczącego przy małym stole, na którym stało coś z cyny zrobionego, z ramieniem wpoprzek u góry; na tem była przybita z rozkrzyżowaniem rękoma postać człowiecza. Staruszek, wzdychając głęboko, szeptał modlitwy, bił się w piersi, potem, ucałowawszy ziemię, powstał. Dostrzegłszy, iż chłopiec już się ocknął, badawczo mu się przyglądając, zapytał:

— Jakże ci, mój chłopysiu, teraz?

— O! spocilem się dobrze, jest mi lekko i wstać już mogę, dobry ojcze.

Chłopiec, orzeźwiony, zerwał się z posłania i pocałował z uczuciem staruszkę w rękę.

— Jakże cię zowią? — zapytał pustelnik.

— Z ojca nazywam się Karaś, a na postrzyżynach dali mi imię Zerkacz. Ale coście to, kochany ojcze, robili przed tym przybitym na krzyżu człowiekiem? i czemuście to proch na ziemi całowali i coś szepotali?

— Modliłem się, moje dziecko, do Tego, co za nas grzesznych ludzi dał się dobrowolnie umęczyć i ukrzyżować, żeby nam królowanie w niebie wyjednać. Modliłem się za moje i za wszystkich ludzi grzechy, mój synu.

— Ja tego wcale nie rozumiem, mój ojciec dobry—mówił chłopiec; — my tylko do naszych bogów śpiewamy, kłaniamy się im, skaczemy przy nich i żertwy z bochenków, mleka i korowajów kładzemy, by się nam dobrze w domu działo i w polu rodziło, a ziemi nie całujemy.

Pustelnik zaczął wyklądać chłopcu główne zasady wiary chrześcijańskiej: mówił o Bogu jedynym, Stwórcy świata całego, przed Którym w pokorze na ziemię padać i proch całować nam przystało; mówi o zaślepieniu i grzechach ludzkich i dobrowolnej ofierze z życia Syna Bożego, dla zbawienia wszystkich narodów na ziemi. — Chłopiec słuchał z uwagą. Bardzo go to zastanawiało, że ta nowa, jakoby najlepsza ze wszystkich wiara, nakazuje miłować i dobrze czynić nawet nieprzyjaciółom. Cieszyła go też niemało ta wiara, że Bóg jedyny, najwyższy, najlepszy Pan wszystkich rzeczy, jako Duch święty, jest wszędzie, a wszędzie obecny, widzi wszystko i daje Swe łaski nieograniczone ludziom, co dobrze czynią drugim i sami uczciwie żyją, a żadnych ofiar innych nie potrzebuje nad serce ludzkie, nad życie pobożne, modlitwę i dobrowolne postęпки. A gdy pojawił się znak krzyża świętego, po którym się chrześcijanie poznają, i nauczył się przeżegnać, poprosił zaraz pustelnika, czyby mu nie podarował krzyżyka, na którym jest rozpięty Syn Boży? Starzec poszukał w drewnianej skrzyneczce i wydobyl z tamtąd krzyżyk, który chłopcu na szyję pod koszulą zawiesił. Potem rzekł:

— Bóg nasz Wszechmocny zesłał mnie widocznie dziś na to, bym ci uratował ciało i duszę. Zachodź tu częściej do mnie, a przed czasem jeszcze nie wydawaj się przed swymi z tem, co tu słyszysz, aż póki się nie utwierdzisz dobrze w wierze,—a wtedy dowiesz się jeszcze odemnie wiele pięknych, cudownych rzeczy, i dopiero nałęczycie przygotowanego pomieszczyć cię w liczbie nawróconych do prawdziwej wiary. Potem staniesz się mężnym na wszelkie przygody i przeciwności w życiu, że będziesz dla tej nowej, świętej, zbawiennej nauki z radością gotów i życie swoje poświęcić.

Chłopiec przyrzekł nawiedzać pustelnika, a prze nocowawszy, pokrzepiony o świcie kawałkiem podpiłomyka, który starzec upiekł w żarzewiu, napił się wody, ucałował ręce swemu dobroczyńcy i powrócił do domu, do uroczyska leśnego, które dalej w puszczy głębokiej było.

II.

Młody Karaś z pustelnikiem puszcza się w drogę na wielką uroczystość gnieźnieńską.

Po ciężkiej zimie szybko nastąpiła zielona wiosna. Podczas gdy liczni jeszcze polańscy poganie, żyjący w ostępach puszczy i borów, topili już bałwana śmier-

cionośnej Marzanny w czasie jarego święta, dla powitania wiosny,—w mieście Gnieźnie przygotowywano się do innej, niezmiernie ważnej uroczystości. Gruchnęła po opolach i powiatach ziemiцы polańskiej wieść, że do miasta tego zjedzie cesarz niemiecki, Otton III, wrzekomo dla oddania czci w pokłonie i modlitwach pierwszemu apostołowi i męczennikowi polskiemu, św. Wojciechowi, zabitemu przez bałwochwalczych Prusaków, gdy ich wiary świętej nauczał. W rzeczy zaś samej przybywał dla poznania bliżej kraju i pana jego, króla Bolesława, który szeroko zasłynął zwycięskim orężem i stawał się groźnym sąsiadem. Już bowiem przedziwny ten wojownik zdołał połączyć w jedno rozdzielone pomiędzy braci przez ojca Mieczysława lechickie krainy; już na Czechach zdobył Śląsk i Kraków z całą gór Karpackich okolicą, i nie było tajem Ottonowi, że pragnie w jedno państwo połączyć słowiańskie plemiona, te nawet, które Niemcy między rzekami Odrą a Elbą opanowali.

Swoją drogą cesarz Otton był panem pobożnym, przeto i chęć poznania Polski i oddanie czci świętemu Męczennikowi, niegdyś biskupowi praskiemu, zwały się w jedną pobudkę do tych odwiedzin. Ciało Męczennika spoczywało w srebrnej trumnie, w gnieźnieńskim kościele katedralnym, dokąd pobożny król Bolesław je sprowadził, wykupiwszy na wagę złota od Prusaków.

Pustelnik, z którym poznajomiliśmy już czytelnika, Ojciec Makary, był wyświęconym księdzem; w nadwartskiej zaś puszczy osiadł, dobrowolnie zno-

sząc ubóstwo, aby nieść światło wiary i czynić posługi religijne wśród ludu nawpół bałwochwalczego jeszcze. Będąc w Trzemesznie, gdzie go bracia z zakonu św. Augustyna obdarzyli skromnymi zapasami i niekiedy kamionką wina dla obrzędu Mszy św., dowiedział się Ojciec Makary o bliskiej uroczystości gnieźnieńskiej.

Za nastaniem ciepłego lata, już od granic polskich aż ku Poznaniowi, gdzie król polski mieszkał, z rozkazu tegoż wspaniale przyjmowano monarchę Niemiec. Którędy przejeżdżał z okazałym pocztem nadwornych rycerzy, lud z okolic się gromadził, a po grodach i kastellach czyli zamkach, których Bolesław dużo już wystawić kazał, panowie kasztelani od zamku do zamku przydawali mu honorowe poczty zbrojnych królewskich rycerzy.

W Poznaniu krótko na dworcu królewskim zabawiał Otton; śpieszno mu było do Gniezna, do grobu św. Wojciecha. Bolesław, nie bawiąc, wyruszył z nim razem.

By się zbliżka przyjrzeć pochodowi niezwykle kłemu i pomodlić przy uroczystościach w kościele gnieźnieńskim, Ojciec Makary, mając przy sobie chłopca Karasia, który się dusznie do niego przywiązał, puścił się też lasami ku Gnieznu. Chłopiec, dzięki usiłowaniom pustelnika, wyuczył się już dobrze pacierza i pojmować zaczął ważność próśb Modlitwy Pańskiej, znaczenie Pozdrowienia Anielskiego, Składu apostoelskiego i doniosłość Dziesięciorga przykazania Bożego. Dla większego wrażenia wśród wzbudzo-

nych uczuć młodocianej duszy chłopięcia, bardzo była na rękę Ojcu Makaremu ta uroczystość spodziewana; -któż bowiem nie wie, jak pięknemi, jak doniosłemi są obrzędy katolickiego Kościoła, zwłaszcza, gdy się z nimi połączy śpiew pobożnego ludu, bicie w dzwony, zapach kadzideł, powiewne chorągwie i złotogłów kap i ornatów księży! Organów, które tak podnoszą uczucia modlących się serc, jeszcze w owe czasy nie wprowadzono do kościołów; zastępował je śpiew i kościelna kapela, zwłaszcza przy ważniejszych uroczystościach.

Wesoła była droga naszych dwojga podróżnych. Razem odśpiewali głośno pacierz poranny; młody głosik dźwięcznie się łączył z poważnym śpiewem starca i szeroko rozbrzmiewał po odwiecznej puszczy leśnej. Przytem towarzyszyły im w drodze pienia leśnych, wcale nieptochliwych, jak dzisiaj, ptaków. Kosy, drozdy, boguwole, kukułki, kraski, gile i drobne zięby zdawały się ich bawić i przyśpiewywać pobożnej pielgrzymce.

Wreszcie jakoś z południa, na parę mil od Gniezna, dotarli do szerokiej drogi, co tylko z rozkazu króla wytrzebionej w puszczy, dla pochodu wielkiego gościa i jego orszaku. Zebrało się wzdłuż wybitego gościńca dużo rozmaitego ludu, a téż pięknego wojska na koniach, w zbrojach żelaznych, z mieczami, dzidami i łukami. Sam Bolesław na czele rycerstwa swego towarzyszył gościowi. Jedni świecili złotem i srebrem, inni miedzią lub stalą swoich zbroic, hełmów i pancerzy, wedle tego, jak się kto mógł przy-

odziać. Najbogatsi kolorem jaskrawym żupana i zwierchniej opończy, złotemi łańcuchami i złotem a błyszczącemi kamieniami nabijanemi tak orężem, jak pancerzem, na koniach suto ubranych, najbliżej byli króla Bolesława i cesarza Ottona III. Ludzie bogaci liczne też bardzo konne, pancerne poczty składali. Liczniejsze jeszcze były hufce konnych z dzidami i łukami lub piechotnych z łukami tarczowników, którzy w boju tarczą swe ciała od nieprzyjaciela zasłaniali. Ich sukmana często białej, rudej lub czarnej była barwy; ale w nich równie dzielne były serca, jak w najbogatszych panach.

Mały Karaś, ubrany w biały, lniany kubraczek, z nogami bosemi, stojąc przy drodze przytulony do Ojca Makarego, nie mógł zadosyć napaść oczu tym pysznym widokiem dwóch królów, wspaniale przybranych, jadących środkiem drogi wśród ustawionych po obu stronach niezliczonych wojaków.

Pustelnik go objaśniał, że z tym wszystkim zbrojnym ludem tylko na wojnę mężny Bolesław występował, ale na ten raz znaczną jego część z Poznania, Gniezna, Kruszwicy, Międzyrzecza, Czarnowa, Płocka, Łęczycy, Kalisza, Głogowa, Budziszyna, Wrocławia, Krakowa, a nawet z pomorskich grodów: Retry, Białobrzega i Giedania (późniejszego Gdańska) ściągnął w to miejsce, któredy Otton do Gniezna jechał, aby temu panu przyzwoitą i wielką cześć wyrządzić, i żeby się Otton zbliiska narodowi przypatrzył. Widział tedy Otton, jadąc od swego Dziewina (Magdeburga), po obszernych tu i owdzie błoniach,

po niezmierzonych okiem polach, leśnych rubieżach i polanach, migające się pułki i po bokach jego ciągnące się orężne drużyny. Widok to być musiał istic wspaniały, a odzywające się w odstępach czasu surmy wojenne jakże wznosiły serca wszystkich do góry!

Gdy już nasza para podróżnych, postępując za orszakami i zbrojnemi hufcami, bliżej się Gniezna znalazła, Otton ze zwykłą sobie pobożnością, przedsięwziął pieszo i boso, wedle uczynionego ślubu za swoje grzechy, do miasta i grobu przystępować. Bolesław tak idącego cesarza z całym jego poczem przez swoje przepuszczał szeregi, wpośród ciżby ludu. Drogę zaś całą kazał nślać sukmem, aż do samego grobu, do którego z wielką skruchą i pobożnością i przystąpił Otton.

W czasie nabożeństw i modlitw pierwszy raz w życiu zobaczył młody Karaś wnętrze kościoła. Odmawiał z przejęciem się wyuczone pacierze, a nie mógł się napatrzeć bogatej, błyszczącej srebrem trumnie św. Wojciecha i wielkiemu ołtarzowi, którego mensa, czyli stół mszalny, z daru króla cały był złotą blachą obity i miał u góry z szczodroblowości tegoż wielki krzyż złotolity. Dzwony wieżowe, jakkolwiek nie spiżowe jeszcze, ale ukute z blachy, rozbrzmiewały chwałę Pana nad pany.

Po odmówionych modlitwach i nabożeństwach poczał Otton wglądać w sprawy królestwa polskiego, zwyczajem królów niemieckich i cesarzów, którzy Polskę za jakąś prowincję swoją lub pograniczne

hrabstwo uważali. Poznawszy, że państwo jest wcale rozległe, utworzył dla niego hjerarchję czyli zwierzchność duchowną, to jest oprócz istniejącego już od czasów króla Mieszka, ojca Bolesławowego, biskupstwa poznańskiego, ustanowił arcybiskupa w Gnieźnie oraz biskupów krakowskiego, wrocławskiego i pomorskiego, oddając ich pod władzę arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Trzy dni jeszcze w Gnieźnie, w domu swoim, podejmował Bolesław cesarza. Kasztelan gnieźnieński, sędziwy wojak Stojgniew, jeden z dwunastu panów radnych Bolesława, zawczasu przygotował wszystko, by dostatek i wspaniałość pana swojego monarszemu gościowi pokazać i nie powstydzić się niczem. Codzień były stoły otwarte, zastawione zwierzyną, mięsiwem i innemi potrawami, nie wymyślnemi, ale smaczniemi i zdrowemi. Składały je zające, sarny, dziki, jelenie, łosie, ptastwo, jagły, krupy dobrze okraszone, chleb i ciasto z mąki żytniej, pszenicę bowiem dopiero później nieco sprowadzili do kraju zakonnicy Benedyktyni i Cystersi w Tyńcu i Sieciechowie. Piwo i miód stały w kadziach, a na stole królewskim i wino. Wszyscy też, czy to panowie, czy mieszczanie, i kmiotkowie, przychodzili, jedli i pili razem z cesarzem i Bolesławem, już to w izbach dworca, już też na podwórzach i pod zamkiem, gdzie także zatoczono beczki i zastawiono stoły. Dobrze to były czasy! Bogatszy uboższemu nie pogardzał i nie wstydził się siedzieć obok niego, choć miał na

sobie siermięgę, a on w cienkiem suknie albo w jedwabiu.

W owych wiekach, w których żył Bolesław, wcale bo inny był porządek w pożyciu ludzkim i obyczajach. Wszystko było proste, grube, wieśniacze. Wszyscy w drewnianych chatach mieszkali; dym z ogniska ułożonego z kamieni wychodził otworem w dachu. Zamiast szyb w oknach były błony rybie, pęcherze lub deszczułki cienko wystrugane. Naczynia w obywatelskim i kmiecym domu drewniane lub gliniane, rzadko srebrne, wyjąwszy u bogatszych lub u króla. Mniej było wykwintnie niż dzisiaj, ale we wszystkim szczerość, otwartość, prostota, dostatek i przepych. Sam król Bolesław miał dworzec w Poznaniu drewniany, z przystawką jedynie murowaną, ale ściany jego bogato były przybrane i drogocennym orężem przystrojone. Tu też w dworcu gnieźnieńskim stały duże, dębowe, poprostu zrobione, łamą lub blachą srebrną powlekane stoły, suknem wreszcie i dość grubem, ale białem, płótnem pokryte. Zastawiono je misami i różnych kształtów naczyniami ze złota lub srebra wyrabianemi. Łyżek srebrnych był dostatek. Goście siedzieli na długich ławach, albo pojedynczych stołkach. Dostojniejsi mieli krzesła lub wezglowia, bogato litemi materjami z Grecji i z dalszego Wschodu od mahometan zakupionemi, pokryte. Polska miała dużo cennych futer, bydła, koni, zboża; było co sprzedawać i za co kupić.

Jedli zatem zebrani goście i pili z kielichów i różnych kubków przyjemne kwasy, tegie piwo, mio-

dy, wino, słodkie i upajające jabłeczники. Podczaszowie nalewali. Stojgniew i Sieciech, starszy nad dworzanami królewskimi, zachęcali wszystkich do jada i picia w bród, co kto chciał i mógł podolać.

Ojciec Makary, unikając biesiady i mięsnych potraw, zamieszkał wraz z młodym Zerkaczem celkę w katedrze, między duchownymi. Miał ciągle na oku małego Karasia, który, rzecz prosta, także się na brak pożywienia i napoju lżejszego nie mógł się użalać. Zdala pustelnik wskazywał mu różne dostojne osoby, z imienia, nazwiska i urzędu, i objaśniał, że po każdej uczcie, co było ze srebrnych i złotych naczyń na stole zastawionych, to z rozkazu króla Bolesława sługom i panom niemieckim do podziału oddawano. Rozdzielał przytem król upominki towarzyszom cesarza w bogatych rycerskich strojach, futrach i pieniądzach. A pieniądze angielskich, francuskich i niemieckich sporo szło wtedy do Polski od kupców jeżdżących po polskie towary. Wyrabiano też już drobną srebrną, monetę polską w mennicy wrocławskiej.

Gdy tak przez trzy dni suto w Gnieźnie podejmował cesarza Bolesław, zdumiewali się Niemcy na widok bogactw i hojności króla polskiego. Otton sam w podziwieniu, że to, na co patrzy, przechodzi wszystko, co o Bolesławie słyszał, widząc, jaki to tęgą człęk z niego, jakie ma wojsko, jakie skarby, postanowił upamiętnić swoją pielgrzymkę i wzajemnie uczcić tak hojnego gospodarza i pana. Złożył radę z przybocznymi panami niemieckimi, których serca przez Bole-

ślawa zjednane były. Nie sądził bowiem rzeczą godną, aby go margrabią lub hrabią nazywać i tym sposobem za podwładnego swego poczytywać.

Gdy tedy trzeciego dnia przy uczcie siedzieli, Otton tak dalece uniósł się radością, że zdjawszy sobie z głowy koronę, włożył ją Bolesławowi. Dał mu przez to znak przyjaźni i braterstwa, jakie między dwoma sąsiadami, równymi sobie w królewskim majestacie, trwać powinno.

Potem zawarł cesarz niemiecki z Bolesławem przymierze, przez które uznał go królem polskim, poczytując za sojusznika i obrońcę cesarstwa. W końcu przelał na niego swoją władzę nad świeżo urządzoną zwierzchnością duchowną.

Na mocy tej umowy Bolesław wkrótce ustanowił nowe biskupstwo lubuskie w kraju łuzickim.

Stało się to roku Pańskiego 1000-go. Po tej umowie gnieźnieńskiej Otton do swojego kraju powrócił, przysyłając w darze Bolesławowi przepyszny mieczyk i relikwie włóchni świętego Maurycego. Te osadzone w dzidzie, miejsce berła w owe czasy zastępującej, były królewskiej dostojności oznaką. Z tej przyjaźni równego z równym wiele sobie dobrego rokowano w kraju, ale inaczej się stało, jak to zobaczymy następnie.

Tu pominąć nie możemy okoliczności, która się wiąże z dalszą dolą nowonawróconego chłopca.

Jak tylko się uroczystości gnieźnieńskie skończyły, Ojciec Makary postanowił także zakończyć dzieło nawrócenia ochrzczeniem Karasia. Jakoż dopeł-

niono nad nim obrzędu świętego w kościele katedralnym. Rodzice chrzestni ksiądz Aron, opat Benedyktynów tynieckich, i małżonka Stojgniewa, kasztelanowa, wprowadzili nową owieczkę do Chrystusowej owczarni, z imieniem chrzestnem Michała, a zdrobniale Michay. Ubrano go w nową białą szatę, wedle zwyczaju, i nogi bose opatrzone w skórnie.

Pani kasztelanowa chciała go zatrzymać na dworze swoim w posługach, jako pokojowca, lecz Michno prosił, aby mu dano pożegnać się jeszcze ze swoimi w puszczy. Ojciec Makary go poparł i stanęło na tem, że go znowu przyprowadzi do Gniezna już na stałe, na dwór kasztelanowej.

Biedny chłopiec ani przeczuwał, co go spotkać miało u swoich w puszczy!

III.

**Uroczysko pogańskie. Pamiętna przygoda
Michała Karasia. Łowy królewskie i zbłąkanie
w puszczy.**

Uroczysko, o którym już napomknęliśmy wyżej, znajdowało się o jakie pięć mil od Poznania, w puszczy leśnej, zapadłej, do którego przechodziło się przez niezmierne gąszcze. O małą milę od niego leżała osada Bartniki z kilkunastu chałup złożona.

Mieszkali w niej sami poganie: światło wiary świętej nie przeniknęło jeszcze w te gąszcze.

Na samem uroczysku stał dąb niezmiernie stary, rozłożysty, omszały, z pokręconemi przez wieki w różne strony konarami. Na pniu jego pozawieszane białe szmaty, poszarpane wichrami, niby stare wojenne powiewały chorągwie. Zrozpaczzone matki chorobą konających dzieci przychodziły tu, by u dębu Peruna, bożka, i u Dziedzilji, opiekunki dzieci, zdrowie swym pociechom uprosić. Pod dębem stał duży, biały kamień ofiarny, a dokoła różne tyczydła z posążkami bogów i bogiń: to Swiatowida o poczwórnej twarzy, to bogini Żywie z pączkiem różanym w ustach, i tym podobne. Znalazły się nawet i pomorskie bałwanki Trygława i Światyбора z rogami na głowie. Uroczysko opasywał wysoki parkan z drzewczkami; przy nim stały tu i owdzie słupy kamienne z napisami runicznemi, a opodal na wzgórzu żalnik, gdzie prochy ciał spalonych zakopywano w urnach. O kilkanaście kroków od parkanu, czyli tynu, stała chata ogrodzona niskim ostrokołem, a przy niej chlewek i szopa. Kury i koguty uwijały się po podwórzu.

Mieszkał w tej chacie stróż uroczyska, a zarazem wieszcz stary, zwany Władybór, wraz ze swą żoną, głośną znachorką, i synem, który z powołania był gęślarzem. Szczupła ta rodzina utrzymywała się z ofiar sąsiednich, trwających jeszcze w pogaństwie ludzi, którzy pod dąb na kamień w uroczystości pewne znosili mleko, korowaje, plastry miodu białego i mięsiwo.—Przy tej to rodzinie mieszkał sierota nasz,

młody Karaś, z przewiskiem Zerkacz, dziś na Michała ochrzcony.

Utwierdzony w nowej wierze, przyszedł teraz do dom, ze śmiałem postanowieniem wyjawienia swoim krewnym, iż przyjął nową wiarę, jaką już król Bolko, królowa i wielu rycerskich panów wyznaje. Jakóż tak postąpił. Dodał nadto, iż ma, nie bawiąc, wrócić do Poznania w służbę na dwór pani kasztelanowej.

Stary wieszcz Władybór, zatwardziały poganin, już miał od pewnego czasu w podejrzeniu chłopca, że się odwraca od obyczaju i obrzędów starodawnej wiary. Już rozgniewany tem, że chłopiec samowolnie zniknął na kilka dni z domu, usłyszawszy teraz wyznanie Michny, zatrzęsł się całym ciałem ze zgrozy i obrzydzenia. Podniósł ręce do góry, wezwał przekleństwa Peruna, a potem schwywszy oburącz chłopca, uniósł go w górę i rzucił na ziemię, pomstując:

— Niechaj cię wpierw ziemia poźrze, nędzniku! zanim ty mi zarażać będziesz miejsce bogów naszych swą czartowską wiarą. Obyś po śmierci przemienił się w żmiję, w padalca! Oby cię podziemny Kościej zmroził na wieki i w bezduszny kamień obrócił!

Schwycił potem pręta dębowego i leżącego chłopaka bił niemilosierdzie. Wreszcie przestał, gdy już Michno prawie znaku życia nie dawał. Na krzyk męża, na głośnie zawodzenie i jęki chłopca, nadbiegła stara Władyborowa, a widząc Michnę prawie bez duszy, jęła go cucić i oblewać wodą. Chłopiec otwo-

rzył oczy, lecz z pobicia powstać nie miał siły. Przeniosła go do szopy i tam, zagrzebawszy we mchu, kazała mu leżeć spokojnie, przyrzekłszy przynieść tłustości na wysmarowanie potłuczonego ciała i ziółek leczniczych.

I stało się, że Michno całe dwa miesiące przeleżał, zrazu dla wielkiej gorączki, a potem z utraty sił. Stary wieszcz, ujrzawszy go raz na nogach, zabronił pokazywać się w chacie, jeżeli wpierw nie pójdzie przebłagać bogów pod dębem Peruna za odstępstwo od wiary przodków. Niewiadomo, coby się stało z biednym chłopcem, gdyby go była nie osłoniła litościwa Władyborowa, umieściwszy w jednej z chat u znajomych w Bartnikach.

Ojciec Makary dziwił się niemało, nie widząc u siebie w pustelni od tak dawna młodego nowochrześcija Michny. Zbierał się pójść z tą wiadomością na dwór pani kasztelanowej, gdy nowe zaszło zdarzenie.

Otton III, powróciwszy z Gniezna do swego kraju, wkrótce umarł. Nastąpił po nim Henryk II który przyjacielem Bolesława nie był. Rozgniewał się też mocno na naszego króla za to, że tenże, mając ciągle na widoku połączenie wszystkich Słowian pod swoim berłem, wpadł z rycerstwem na pograniczne warownie niemieckie, (poczem wstępnym bojem odrazu zagarnął Luzację z miastem Lubuszą, a też Miśnię czyli Syrbję, które to kraje pomiędzy górną Odrą a Elbą, gdzie dziś Saksonja, leżały.

Rozpoczęła się długoletnia, uciążliwa dla świeżo spojonego państwa Bolesławowego wojna. Nie tyle on miał ludności i środków do obrony, jak monarcha Niemiec, zasobniejszy w przyrządy wojenne i wyćwiczone rycerstwo. Mimo to Bolesław za pomocą Bożą i swoich talentów, przy dzielnem rycerstwie, nieraz potężnie cesarza wykropił.

W samych początkach tej wojny mężny Bolko, potłukłszy wroga, z małą częścią rycerstwa powrócił na zimę do swego Poznania, obwarowanego wałami, ostrokołami, tynami, rowami i rzeczką Cybiną, wpadającą do Warty. Jako dobry gospodarz, najwyższy sędzia narodu i znakomity urządziel państwa, nie spuszczał ani na chwilę z oczu jego bezpieczeństwa i spraw, szerząc nową wiarę, stawiając strażę i zamki, stanowiąc w nich urzędy z kasztelanami, którzy w każdym powiecie rządzili i sądzili, a czasu wojny przywozili ludowi.

W przerwach przeto wojennych skwapliwie zajmował się urządzeniem swych dzierżaw i naradami nad dolą wszystkich Słowian, które zwykle odbywał w kole dwunastu wojewodów, mężów poważnych latami i zasłużonych ojczyźnie w bojach.

Teraz właśnie po kilku dniach tych narad dzielny król Bolesław postanowił starać się o koronę królewską z rąk Ojca św. Rozumiał on ważność tej sprawy, gdyż w czasach owych żaden król ani cesarz nie obył się bez przyznania korony i błogosławieństwa ze strony papieża. Teraźniejszy cesarz niemiecki bruździł w tem Bolesławowi i zaprzeczał mu właśnie ko-

rony, uważając się sam za następcę dawnych cesarzy rzymskich, panów świata całego.

Przejęty do żywego dobrem i szczęściem swych ludów, Bolesław bystrym wzrokiem sięgał w daleką przyszłość, w której niewiele pocieszającego dla swego dzieła widział. Z dwóch synów jeden, starszy Dobromir, stroniąc od rzeczy światowych, pragnął co prędzej oblec duchowną sukienkę, drugi zaś, Mieszko, chociaż wzorem ojca rwał się do miecza, jednakże umysł jego słabo się rozwijał i nie rokował tej raczności ducha, tego zrozumienia potrzeb wielkiego już narodu i tej przedsiębiorczości, czem wszystkim się Wielki Bolesław odznaczał.

Zima i tego roku była ostra, śnieżna; nie przeszkadzało to jednak do odbywania łowów po lasach. Chrobry, jak ojciec, był do myśliwstwa nawykły; czasu pokoju zastępowało ono wycieczki wojenne, nie dawało gnuśnieć dworowi i liczny tłumom młodzieży, które Bolesława otaczały.

Posepnych dni kilka w beczynności spędziwszy, król ruszył się nagle, nazajutrz oznajmiając łowy. Śnieg nowy przyprószył był właśnie, dając tyle pożądaną dla łowów ponowę; niebo obiecywało się pogodne, powietrze łagodne. Szukał, znać, Bolesław w tej rozrywce zapomnienia frasunku i rozpędzenia złych myśli, rozważając o przyszłości wielkiego kraju lechickiego, którego granice, wątpił, czy syn jego Mieszko zdoła obronić.

Stanęli mu do boku ulubieni towarzysze tych wycieczek: łowczy pański Harno, który miał zwierz-

chni dozór nad myśliwską czeladzią i psiarnią, i Sawasz, co nie miał sobie równego w rzucaniu oszczepem, a tropieniu zwierza. Oprócz tych, kilkudziesięciu dobranej młodzieży towarzyszyło panu.

Tuż niemal za miastem rozpoczynały się puszcze, ciągnąc się w różne strony, tak że raz w nie się zapuściwszy, cały kraj prawie przejechać było można, nie wynurzając się z lasów. Wszystkie one wiązały się ze sobą. A lasy ówczesne do dzisiejszych nie były podobne. Niesplądrowane, dziewicze, obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, który dziś znikł z nich na wieki.

Żył w nich jeszcze pan puszczy, dziki tur, chożyły żubry stadami wielkimi, łosie i jelenie. W głębokie zastępy lasów rzadko się dostawał człowiek, lub na krótko przerywał uroczystą ich ciszę. Puszcze jakby jednym pasmem okrywały całe obszary ziem polańskich, gdzieniegdzie tylko przerobione na pola, powypalane na łąki i wypasy, bliżej ludzkiej sadyby. Stały one jeszcze tak, jak je po oschnięciu tych nizin z mórz pierwotnych stworzyła natura, wyrosłe bujno, gęste, ściśnięte. Obalony olbrzym z ciałem zbutwiałem, zamierając, nie padał na ziemię, ale się opierał na pniach sąsiednich, dopóki w proch się rozsypując, nie znikł z czasem, nowe sobą karmiąc pokolenie.

W tej zielonej, potężnej świątyni leśnej nie się pod cieniem rozrostłych olbrzymów wyżywić nie mogło i przebić w górę do słońca. Ledwie mchy i bo-

rówki skromne, co drobnemi światła kropelkami się karmią, u stóp starców pełzały.

Lasy latem, jak zimą, miały swe życie odrębne, swoje tajemnice, znane tylko tym, co do leśnego należeli świata.

Przed hukiem siekier człeka, jako najeźdźcy, jako podbójcy, dawni mieszkańcy leśni opuszczali legowiska i gniazda swoje odwieczne, idąc coraz głębiej szukać ciszy, spokoju i swobody.

Tu zimą, pod kłódami i gałęziami, na łożu z suchych liści zasypiał niedźwiedź, nie budząc się aż z wiosną. Straszne bywało spotkanie z dzikim a rozjuszonym miszką, gdy spiąwszy się na łapy, wyzywał myśliwca, aby się z nim wziąć za bary. Silniejszy od niego tur, nie tak obrotny, ciężki, pożądanym był także dla myśliwców łupem, dla mięsa, skóry i leczniczych własności „wichrowatych“ kudłów, które mu okrywały ciemie. — Żubry zastawano często na łąkach, wpośród lasu: ale biada była myśliwemu, gdy on go na drzewo zmusił uchodzić, bo je potem rozjuszony nieprzyjaciół tłukł głową i nogami, dopóki go nie obalił i nie zgniótł napastnika! — Łatwiejsze były za łosiem pogonie, szczególnie, gdy wpędzony na lód rozkraczył się i dalej uchodzić nie mógł, — tak też i za pierzchliwym jeleniem, gdy nie bronił stada łań, lub za kozami. — Nie lękano się też wilka, jeśli nie był, wedle bajki, przedzierzgniętym człowiekiem, wilkołakiem, bo wtedy sądzono, że go się strzała nie ima, a drapieżności był strasznej. — Przyczajony też na rozsochatych konarach bury so-

ból, żbik lub ryś centkowany były dla futer pożądanym łowców łupem.

Na wszystkich tych mieszkańców puszczy czyhali, oprócz zwierząt drapieżnych, panowie, władcy, osadnicy, parobie; szli z oszczepami, łukami i procami, zastawiali sidła, kopali doły.—Dzieci zaprawiały się na drobnem ptactwie, a wyrostki tęskniły za siłą, aby corychlej iść w zapasy ze straszniejszym zwierzem.—Ówczesne téż łowy były istotnie jeszcze wyścigami o lepsze zręczności, przebiegłości, siły. Dzielnego oka i dzielnej potrzeba było dłoni, aby tura, zabra lub łosia powalić i niedźwiedziowi wydrzeć życie. W zdartą skórę stroił się myśliwy z dumą, bo ją często własną krwią okupić musiał.

Myśliwstwem trudnili się naówczas wszyscy, co wojakami byli, a najpiękniejsza część narodu garnęła się do rycerstwa. Najczęściej tygodnie w puszczach spędzano, legając pod szalasami nocą, aby z braskiem dnia być gotowym.—Zapędzano się tak bez wieści, często na nieprzyjacielskie ziemie, gdzie i łowiec sam stawał się zwierzyną, zmuszoną do walki, lub uchodzenia przed przeważną siłą.

Ze świtem ruszył król Bolesław z drużyną swoją znad Cybiny, gdy w tumie pierwsze światła na jutrznię zapalono. Król wydał rozkazy, aby lasami kierowano się ku Gnieznu, które zwykłą drogą sześć mil tylko dzieliło od Poznania; lasami zaś i łowieciami manowcami liczyć było można prawie tyle dwoje. Domyślano się, że po rozrywce leśnej pragnął się pan pobożny u grobu św. Apostoła pomodlić, gdzie

często w tróskach swoich szukał pokrzepienia i pociechy.

Król, siedząc na bułanym wierzchowcu, milczał, jadąc stępą, pogrążony w myślach. Orszak, jadący za nim, trzymał się téż milcząco, ledwie śmiąc szeptać pomiędzy sobą. Przodem nieco wysłano czeladź i łowców ze sforami psów, aby, zwierza osaczywszy w kniejach, na dany znak trąbką napędzała go na myśliwych.—Początek łowów nie był bardzo szczęśliwy: co grubszy zwierz wszystek ująć zdołał. Kilkanaście kóz pomknęło polanką; młodzież położyła ich parę.—Orszak królewski podzielił się na kilka oddziałów, rozstał się szerzej, objął przestrzeń znacznie szerszą. Lecz i teraz trafiono tylko na drobną zwierzynę.

Pięć godzin może po lesie tułając się, szczęścia próbowano napróżno. Łowczy kłął okrutnie, łajał wszystkich straszliwie. Przypisywał niepowodzenie sile nieczystej, czarom, co im przeszkadzały, bo wtedy wszystko złe kazało się domyślać złośliwych czarów. Znużenie czuć się dawało silnie, głód i pragnienie dokuczały.

Król kazał łowczemu zatrąbić, by się zebrano na posiłek. Wydobyto z sakw chleb razowy, wędliny; wody przyniesiono z pobliskiego ruczaju,—wódki jeszcze nie znano. Bliższych siebie król poczęstował kubkiem wina frankońskiego, które czeladź wiozła. Do gródków wśród trzebieży król nie kazał nigdzie zawracać.

Jechali znowu z polanki w lasy, po krótkiem wytchnieniu. Do wieczora jeszcze kilka zostawało godzin, bo dzień w lutym już był nieco dłuższy. Królowi podano świeżego kasztanowatego konia. Stał bór sosnowy przed łowcami jak ściana czarna; nie miał z krzewów podszycia. Wygodnie było przezeń jechać, ale też za nim rozpoczęły się inne drzewa, zaroślami objęte, gąszczami poprzerzynane. Zwolna sosny były coraz rzadsze, gdy po pewnym czasie, na dany znak, uciszyli się wszyscy i chwilę w milczeniu jechali. Na skraju polany porwał się jeleń naprzeciw króla tak blisko, że Bolesław cisnąć mógł oszczepem. Jakoż rzucił nim, ale kuty pocisk, trafiając zwierza, ośliznął mu się tylko po grzbiecie bezsilny. Jeleń pomknął rącho, a król, czując świeżego konia pod sobą, rzucił się pogonią za lekko ranionem zwierzęciem.

Puścili się téż towarzysze królewscy, jak kto mógł, zdołał i umiał. Zatętniał bór, kilka okrzyków słyszeć się dało, nie pod jednym koń się zwinął i padł razem z jeźdźcem. Inni pędzili dalej.

Król ścigał zwierzę, pędząc konia bez miary, jakby na zwierzęcia i na wierzchowca chciał myśli ciężkie spędzić i wylać je z siebie. Z okiem zapalonym, przygięty, miotając co miał pod ręką, Bolesław ubiegł znaczny kawał drogi borem, ciągle zmuszony kołować i wymijać drzewa, gdy jeleń, który się coraz bardziej odsadzał, znikł mu z oczu nareszcie.

Jakiś czas król biegł jeszcze, aż konia zasapanego i spienionego zatrzymał.

Otaczał go las głuchy—nikogo za sobą, nikogo nie postrzegł przy sobie... nigdzie szelestu i tętnienia słyszać nie było... Tylko kruki i wrony, przelatując, złowrogo krakały nad starych dębów konarami... Zdały się szydzić głosami dziwnymi, jakby naprzekór.

Miał król na piersiach przewieszoną, z Kijowa misternie rzeźbioną, trąbkę z kości słoniowej, złotem sadzoną. Mógł ją do ust przyłożyć, zadać, a dwór możeby posłyszał trąbienie; lecz Bolko czy o niej zapomniiał, czy też że chciał być samotnym ze swemi myślami, zwolnił tylko koniowi kroku i począł stępa jechać dalej. Cugle purpurowe z rąk puścił i obojętnie rozglądał się dokoła.

Puszcza była dzika, gąszczami zarosła, niedostępna, poprzecinana strumieniami, w części zamarzłemi, częścią oparzelistemi, w których, mimo zimy, jakby wieczną zieleniała wiosną. Kłody i powały drzew, z narosłym na nich śniegiem, przerzynały puszcę w różnych kierunkach. Mnogie ślady zwierza widać było, nigdzie oznak konia i człowieka. Ta pustynia o zmroku, bo noc nadchodziła szybko, wcale, znać, króla, nawykłego do wypraw, nie trwożyła. Wiedząc, jak w lasach bez dróg łatwo zbłądzić, i że wtedy najlepiej polegać na poczuciu konia, przestał swym wierzchowcem kierować. Dał mu się obracać, jak sam chciał. Zwierzę to królewskiej stajni, nawykłe do paszy i swobody, nawykłe do wędrówek po łąkach i puszczach, jak tylko poczuło się swobodnem, głowę podniosło do góry, okiem bystrem rzuciło, dokoła się rozpatrując, prychnęło i zarżało. Jakby zro-

zumiało zbłąkanie się i osamotnienie pana, rżeniem swoim zdawało mu się pomocy przyzywać. Stał kasztan, słuchał, strzygąc uszami, lecz nic mu wzajem nie odpowiedziało. Dokoła głuche milczenie!

Zostawiony sam sobie, dzielny biegun królewski, idąc zwolna, chrapnął, nozdrzami zaczerpnął powietrza, jakby chciał, aby ono coś mu powiedziało, gdy nikt się nie odzywał. Jeszcze raz dokoła bystremi potoczywszy oczyma, śmiałym krokiem skierował się w stronę, gdzie się zapewne spodziewał znaleźć spoczynek.

Król sądził może, iż ślady jego konia pogoń za nim sprowadzić muszą, a może też, zabawiając tem osamotnieniem siebie, on, który był panem od Bałtyku do Dunaju, jechał spokojny, pytając w duchu, gdzie go też wierne zwierzę poprowadzi?

Noc nadchodziła czarna. Nieco przyspieszywszy kroku, koń, jakby znał jakąś drogę niewidoczną, prowadził nią swego pana coraz śmielej, i szedł, mijając zawały, ciągle w jednym kierunku. Czasami stawał chwilę i nozdrzami znowu badał powietrze; potem szedł dalej krokiem pewnym i coraz bardziej przyspieszonym. Nastąpiła już noc posepna. Śnieg tylko białął nieco i wskazywał drogę. Parę razy coś pierzchnęło na uboczach, coś zamruczało jak zwierz spłoszony; lecz kasztan nie uląkł się wcale. Z płaszczyzny zaczął na wzgórze wstępować, a król, przypadkiem oko nadół spuściwszy, na śniegu dostrzegł świeże ślady stóp ludzkich.

Puszcza gęsta ku wierzchołkowi wzgórza cokolwiek była przerzedzona. Zpomiedzy pni grubych zdziwiony król dostrzegł słabe światełko... Koń zarżał w tej chwili, jakby je pozdrawiał. Wprędce też, podbiegłszy kilka kroków, stanął, rozpatrując się dokoła. Bolesław dostrzegł maleńką, ubogą lepiankę.

IV.

Dziwna lepianka. Ciekawe podziemie. Opowieść Bolesława Chrobrego. Sławny mieczyk.

Lepianka, którą król spostrzegł, była to już nam znana siedziba pustelnika, Ojca Makarego. Przez szparę okiennicy przerzynało się trochę blasku; ponad daszkiem lekki obłoczek dymu unosił się w górę. Koń rżał ciągle, jakby nawoływał. Drzwi się uchyliły, i głos drżący odezwał się:

— Niech będzie Bóg pochwalony!

Król donośnie i prędko odpowiedział:

— Cześć Mu i chwała. Amen! — Zsiadł z konia, zostawiając go swobodnym, i dostrzegł, że witający go był starcem przygarbionym, z długą, siwą brodą. Zaproszony Bolesław, niskimi drzwiami wszedł z sionki do wnętrza znanej nam już nędznej lepianki. Na

jednej ze ścian uderzył oczy króla krzyż wielki czarny, którego niższa część, widać pocałunkami wytarta, zbielała. Drugi krzyż mniejszy, cynowy, stał na stoliku, a przy nim leżało, co miała najdroższego lepianka, to, co naówczas narówni ze złotem i drogimi kamieniami, lub wyżej nad nie ceniono — mała książeczka z kart pergaminowych złożona, w ciężkich okładzinach drewnianych, z zawiaskami srebrnymi. Na kartach otwartych widocznie dopiero co modlił się starzec; przezierały z nich malowane purpurą wielkie jej początkowe litery (inicjały). Krzyż na piersiach i szkaplerz zakonny zdobiły piersi pustelnika. Wiaderko z wodą, dwa małe garnuszki, gliniana miska czarna, łyżka drewniana, grubo wyciosana, składały całe gospodarstwo. Pustelnik w półświecie lampki olejowej mógł tylko rozpoznać, że miał przed sobą podróżnego i jego konia, ale ani się domysleć mógł, kim był, zwłaszcza, że Bolesława raz tylko widział w czasie owej Ottonowej pielgrzymki i to ubranego strojnie w purpurę i złoto. Miał też starszek wzrok już wiekiem i trudami osłabiony.

— Podróżny jestem — rzekł król — zabłąkałem się w lesie; dajcie mi się ogrzać i spocząć u siebie.

Coś niewyraźnego odpowiedział staruszek i podsunął ławę gościowi. Król z przyboru zakonnego odgadł, że ma przed sobą duchownego. Z obnażoną głową zbliżył się do ucałowania mu ręki wedle zwyczaju.

— Pobłogosławcie najprzód podróżnemu, ojciec mój, — odezwał się Bolesław, rozglądając się zdziwio-

ny po nędznej izbie—a potem powiedzcie mi, jakeście się na tę puszcę i biedę dostali?

Staruszek, westchnąwszy, rzekł po chwili:

— Pustelnikiem jestem, życie zakonne świata się nie opowiada, przed ludźmi kryje. I czemuż mi się dziwisz, mój synu? Azaliż nam wiele potrzeba, by się modlić i Boga za grzechy ludzkie błagać i swoje?

Król rozglądał się jeszcze ze zdumieniem i poszanowaniem razem.

— W takiej nędzy—rzekł—na takim bezludziu, wśród dzikiego zwierza, wśród dzikszych jeszcze pogan, których lasy są pełne, jakże wyżyć mogliście?

— Jak wszystko stworzenie, co żyje łaską Bożą—odparł starzec spokojnie. — Czyż ta łaska, co zwierza odgania trwogą, od pogan nie odgradza tej lepianki lepiej, niż murem i rowami?

— Ale wy tu ani kościoła ani ołtarza nie macie,—zawołał król, ciągle ze zdumienia wyjść nie mogąc i oczom nie dowierzając, na widok tej nędzy.

— Mylisz się, dziecko moje—odrzekł, uśmiechając się, pustelnik.—Na wielkie święta chodzę do braci moich zakonnych w Trzemesznie, a na dzień powszedni sam sobie zbudowałem małą kapliczkę.

— Gdzież? — spytał król, oglądając się dokoła i nie widząc innej budowy.

— Chcesz ją zobaczyć?—spytał staruszek.

— Proszę was o to, Ojcie.

Starzec, wzięwszy lampkę w rękę, poprowadził króla w ciemny kąt izby. Tu na ziemi leżące podniósł drzwi, z deszczulek zbite. W głębi pod niemi

widać było schodków kilka, wyżłobionych niekształtnie w glinie. Kaplica pustelnika była kryptą razem i katakumbą. Z trwogą pobożną i zdumieniem król zaczął się za staruszką z trudem i powoli spuszczać do krypty ciasnej, jednakże obszerniejszej od izdebki na górze. Miała czyste, równe ściany i rodzaj sklepienia, wspartego na dwóch ciężkich, pozostawionych słupach gliny. Pomędzy niemi, z ziemi także i kamieni, po części drzewem rzeźbionem okryty, wznosił się prosty ołtarzyk z krzyżem pośrodku i dwoma lichtarzami drewnianymi. Na nim stał cynowy kielich, maluczki, takąż przykryty patyną. Na słupach wisiały ubogie odzienia kapłańskie do mszy niezbędne: humerał, alba, pas, stula, wreszcie ornat, nie świecące złotem ani jedwabiem i perłami, ale czyste i świeże, jak wszystko, co Ojca Makarego otaczało. Ten poszedł naprzód, na chwilę przed swym ołtarzem przyklęknął i zmówił modlitwę. Król też się modlił pobożnie. Powstawszy, gospodarz rzekł z uśmiechem prawie wesołym:

— A tu, dziecko drogie, stoi przygotowane ostatnie łoże moje, w którym ja i teraz sypiam.

Była to z prostych grubych desek zbity trumna, wewnątrz liśmi wysłana, o którą oparte leżało wieko z wyciosanym na niem krzyżem.

Widząc zdumienie rycerza, ożywił się staruszek, poczuwszy w nim duszę pobożną.

— Mam prawo się trochę pochwalić — dodał — boć to wszystko, co tylko tu widzisz dokoła, dziełem jest ręki mojej. Sam powoli wykopałem tę kaplicę,

ziemię na starych wynosząc plecach; sam ją sobie przy-
stroilem, ulepiłem chatynkę, wyciosałem sprzęty,
a Bóg mi dał siłę i pociechę z trudu mego na Jego
chwałę. Boć i tu w tej puszczy brzmi teraz cześć
Zbawiciela.

Gdy wrócili do izdebki na górę, O. Makary
rzekł do gościa:

— Siadźcie, rycerzu, na ławie, jako możecie,
albo lepiej legnijcie na liściach, które są suche:
Twarde to łoże, ale rycerzem jesteście, jak widzę,
i do niewygód nawykłym. Ognia wam tu naniecę,
ale niestety, Bóg widzi, nie wiem, czembym was
mógł przyjąć i posilić.

— A czemże wy sami się karmicie?—zapytał
Bolesław, coraz większą czcią dla wesołego pustelni-
ka przejęty.

— Ja?—rzekł pustelnik. — Oto naprzód żywię
się modlitwą i łaską Bożą, bo te karmią i zasilają
najlepiej, a potem lada czem, jakąś kruszyną. Tro-
chę krup ugotowanych na wodzie, trochę korzonków
wykopanych z ziemi, czasem rybka w strumieniu złä-
pana. Mięsa nie jadam od lat trzydziestu, chleb
czarny rzadko. Nawykłem już do tego życia, za lep-
szem nie tęsknię.

Nie nie mówiąc, król go w rękę pocałował. Sta-
rzec wiązkę chróstu z sionki przyniósł i przyłożył na
dogasający ogień.

Usłuchawszy rady, Bolesław rzucił się na ubo-
gie postanie, czując się znużonym. Na głód i niewy-

godę mógłże się skarżyć, widząc to zaparcie się starca tak surowego dla siebie?

O. Makary usiadł z boku na ławie przy stoliku.

— A wy skąd jesteście, rycerzu? — zapytał.

— Ja... od dworu króla jestem — rzekł Bolesław — wyjechaliśmy dziś na łowy i zbłądziłem w lesie, pędząc za zwierzem.

— Zaprawdę, nie małoście się zabłąkali — odparł staruszek — jest to, można rzec, samo jądro tej puszczy, dokoła moczarami i naturalnemi otoczone zasiekami, do którego się nawet dostać trudno. Człowiek tu zagłada bardzo rzadko, zwierz czasami. Dziady i czarownice stare boją się mnie, za większego od siebie mając czarownika, i nie napastują, choć nieopodal mają swe uroczyska, na których śpiewy i płasy odprawiają.

Zamyślił się staruszek i widocznie zafrasował.

— Jakże mi żal, że was strudzonego, zgłodniałego, niczem pokrzepić nie mogę... Ale — zaiste!

To mówiąc, wstał z ławy uradowany.

— Zaiste! ojcowie z Trzemeszna dali mi niedawno do Mszy świętej aż całą kamionkę, co mieści dwie flaszki wina! Starczy go na długo, bom oszczędny, a dla siebie, krom Mszy świętej, nie używam Wina wam zgrzeję, nieprawdaż?

— Dobrze, mój ojczel! wina mi zagrzejcie... a za każdą jego kroplę oddam wam dzbanek! — zawołał Bolesław uradowany — w istocie osłabłym się czuję, bo tak, jak wy, ciała martwić nie zwykłem.

— O! nie bądźcie tak rozrzutni — uśmiechając

się, podchwycił stary—cóżbym ja począł z takim zapasem? nie miałbym go nawet gdzie pomieścić. A nużby mi to bogactwo tak się nie poszczęściło, jak ów dar króla Bolesława dla onych pięciu braci pustelników, co zginęli od zbójców za jego bryłę złota!

— A!—krzyknął, zapomniawszy się na chwilę król, bijąc się w piersi—a! ta nieszczęsna bryła złota,—do końca życia na piersi ciężyc mi będzie.

Zaledwie tych wyrazów domówił, Bolesław spostrzegł, że sam się zdradził, ale tuszył sobie, że go może pustelnik nie zrozumiał.

O. Makary stał, patrząc nań spokojnie, nie okazując wcale zdumienia, z uśmiechem łagodnym na ustach.

— Jesteś więc królem Bolesławem, mój synu—zawołał, lekko skłaniając głowę.—Cześć ci, królu potężny! Rad jestem, że cię mam gościem u siebie. Bóg niech ci błogosławi.

Ręką skreślił krzyż w powietrzu. Król się smutnie zamyślił i przerwał O. Makaremu:

— Grzesznikiem jestem, większym może niż inni.

— Wszyscy się modlimy za ciebie, gospodynie nasz—odparł pustelnik—bo gdyby silna dłoń twoja nie trzymała pogan, padlibyśmy wszyscy ofiarą, jak od dzikich zwierząt pożarci.

To rzekłszy, staruszek zajął się pilnie zagrzaniem napoju dla króla. Bolesław, śmiejąc się, do ust przyłożył czarny garnuszek, a wychyliwszy orzeźwiający napój, podziękował staruszkowi.

— Teraz—odezwał się—mogę spokojnie czekać

ranka. Tylko biedny mój koń o chłodzie i głodzie noc przebędzie.

Istotnie, biedny kasztan, ukrywszy się od wiatru za ścianę, stał smutny, ze łbem spuszczoneym. Wkrótce jednak, grzebiąc nogami, wyszukał dla siebie pod śniegiem zeschłej strawy.

Sen jakoś nie miał się króla. Sprawy państwa, myśli o pożądanej z Rzymu koronie dla siebie i swych potomków, o spojeniu wszystkich Słowian w jedną całość — spać mu nie dały. Tylko widok dobrowolnego ubogiego wygnańca, męczennika spokojnego, niemal wesołego, kazał mu o sobie zapomnieć. To dobrowolne męczeństwo ciała, ubóstwo szczęśliwe, chętne ofiary życia tak tego pustelnika, jak i wielu innych, przejmowały wtedy wszystkich czią i trwogą. Mężne na śmierć narażanie się apostołów nowej wiary, jak świętego Wojciecha, który, rzuciwszy dostojęństwo biskupie i dwór monarszy, poszedł szukać męczeńskiej korony, — takie szukanie śmierci dla chwały Bożej i dobra bliźnich nawracało tysiące zbłąkanych.

Dlatego téż nasz skromny zakonnik O. Makary, cały oddany Bogu, modlitwie i współbłżnim, żyjący duszą w niebiesiech, za któremi tęsknił, nie doznał wrażenia, widząc przed sobą mocarza ziemskiego. Nawykł był codzien obcować duchem z Królem królów, a biedny ziemski pan wydał mu się prostym śmiertelnikiem, dźwigającym ciężar wielkiego posłannictwa na ramionach. I przyjmował go tak, jakby przyjmował w lepiance zziębłego żebraka, głodnego, zbłąkanego przechodnia.

Bolesław uderzony być musiał tą prostotą i spokojem ducha świętego człowieka, uśmiechającego się do swojej nędzy. W podziw go to wszystko wprawiało. Ojciec Makary szanował w nim władzę, ale bałwochwalczo nie upadał przed nim.

Gdy O. Makary, zapaliwszy lampkę, poszedł do krypty odprawić swoją godzinę modlitwy, król pozostał sam, w myślach zatopiony. Porównywał może spokojne życie tego nędzarza ze swoim, jego ukojenie wewnętrzne z tą walką, którą całe życie w piersi nosił... Postanowił się zwierzyć, wypowiadać z trosk swoich przed tym, który, nie powodując się stronnością dla nikogo, patrzył tylko wiecznej sprawiedliwości...

Dokoła szumiał las posepnie. Z podziemnej krypty słychać było szepty, modlitwy i westchnienia. Niekiedy żywiej wiatr puszcę zamiętał i wdzierał się otworem dymnika do izdebki. Na kamieniach ogień dogorywał. Gdy zakonnik wrócił na górę, król prosił go o chwilę jeszcze rozmowy i zagadnął, wsparty się o postanie na łokciu ręki:

— Na sumieniu mi smutno, na duszy ciężko. Znać wy życie moje, szanowny ojcze?

— Ja?—zapytał O. Makary,—a skądżebym ja miał je znać? Tyle wiem tylko, że jesteście synem wielkiego Mieszka, i że dzieło jego nawrócenia i chrztu ziemicy tej prowadzicie na chwałę Bożą, że wznosicie świątynie Pańskie, złoćcie je i opiekujecie się sługami Chrystusa. Wojujecie też szczęśliwie

z nieprzyjaciółmi ojczyzny. Cóż mnie może obchodzić więcej? Modłę się za was.

— Wyznam wam, ojcze, grzechy moje, niepokój i myśli moje tajemne. Chcecież mi dać ucha, tak jakbym spowiedź ze skrucną składał przed wami?

— Miłościwy gospodynie — odparł zakonnik — czyńcie, jako sumieniu waszemu lepiej, jak duszy lżej być może.

Wtedy opowiedział Bolesław, jak po śmierci świątobliwej matki, Dąbrówki czeskiej, ojciec pojął za drugą żonę Odeę, która została matką trzech synów: Świętopelka. Władysława i Lamberta. — I rzekł król dalej: — Ojciec do mnie, jako pierworodnego, mawiał, uderzając po ramieniu: „To będą wojewody twoje, a ty nad nimi panem i królem“. Mimo to, ojciec przed śmiercią swoją, za wpływem macochy, podzielił kraj między rodzeństwo: Świętopelkowi dał Gniezno i dwie szerokie ziemie, a bratankom moim Odylonowi i Prybuwojowi, zrodzonym ze stryja mego Sydbora, tymczasowo za młodszych dwóch moich braci dwa inne działy się dostały. Mnie ledwie że Poznań dano... Wróciwszy z wojny, zastałem ojca na marach, — jęknął Bolesław, to mówiąc, i dłonią w poślanie uderzył.

— Miałem ja dać rozpaść się temu, co ojciec krwawemi zlepił rękami? Byłem starszym i wodzem. Mnie w domu nie słuchano; wróg targał, jak zapragnął, lud do pogaństwa powracał, rozprzegało się wszystko. Rycerstwo tylko, z którym chadzałem na wojny, było ze mną. Cierpiałem trzy lata, mój ojcze,

patrzac, jak sie w gruzy waliło Mieszkowe budowanie, a serce się krwawiło. Macocha, jej synowie i bratankowie urągali mi, gdym wołał o pomoc na wroga. Stałem sam jeden przeciwko pięciu.... Ale cierpienie się przebrało. Nocą naszedłem na zamek Ody, jej i dzieciom iść kazałem precz z mej ziemi, gdzieby chcieli. Odeszli z zemsty pragnieniem. Odylon i Prybuwoj powstali na mnie z orężem. Pokonałem ich obu, dostali się w ręce moje. Nieposłusznym mogłem pościnać, lecz ukarałem ich tylko dożywotniem więzieniem, gdzie Prybuwoj zmarł wkrótce, a Odylon oszalały żyje... Potem, jako pan jedyny tej ziemi i sędzia jej najwyższy, skazałem tych i owych na gardło, ludzi nieraz znacznych, za rozboje po drogach handlowych. Mów, ojcze, winienem-li, byłem li okrutnym?

Ojciec Makary po krótkiem milczeniu przemówił:

— Nie jesteś winnym, mój synu, jako najwyższy sędzia i stróż sprawiedliwości w swoim kraju. Niech spadnie brzemię z serca twojego, śmiało się podnoś przeciw nieprzyjaciółom. Nie ty sądziłeś i karałeś, ale zakon sędzią był i katem. Królu mój—dodał jeszcze pustelnik—jako sędzia najwyższy, czystym jesteś. Jako chrześcianin i ojciec ludu twojego, mogłeś li czynić miłosierdzie—niech ci to powie serce twoje. Wreszcie (tu podniósł ręce do góry) niech ci Bóg odpuści, w czem zawiniłeś.

Złożył król ręce, jak do modlitwy.—Świątobliwy człecz—zawołał—westchnij do Boga, aby spuścił na cię światło i powiedz mi przyszłość.

— Nie chce Bóg, abysmy wiedzieli przyszlą dołę—odparł staruszek—albowiem, kto ją przeczuwa, ten krwawym zlewa się potem i słabnie dusza jego. Mężowi przystoi czynić, co mu Bóg przykazał, i w sprawiedliwość jego wierzyć, a o resztę nie pytać. A teraz — dodał — usnij, gościu mój, ja pójdę do mojej trumny i spocznę także. Potrzebujesz . spoczynku i ukojenia, niech Bóg ci je zesle.

Posłuszny król Bolesław zabrał się wyciągnąć na posłaniu, a że u boku miał miecz poświęcony, który go nie opuszczał nigdy, jął pasa zwalniać, aby go mógł przy sobie złożyć.

Oko pustelnika padło na rękojeść, którą król całował, i ciekawie się na niej zatrzymało. Wyrażone na niej były misterne znaki czterech Ewangelistów, które malowano naówczas we wszystkich księgach, jako oznakę czworakiego, zgodnego świadectwa prawdy, której Chrystus ludzkość nauczył. Król spoglądającemu na mieczyk zakonnikowi przybliżył do lampki rękojeść rzeźbioną, tak że ten mógł na niej odczytać imiona Boże tajemnicze, stojące na niej w języku łacińskim. Znaczyły one po polsku:

„Ktokolwiek imiona te Boże nosić będzie przy sobie, żadne niebezpieczeństwo mu nie zaszkodzi. Amen“.

Z poszanowaniem przypatrywał się ojciec Makary królewskiemu mieczowi, który wziął w rękę, a który swem pismem miał potwierdzać, że nie żelazo siłę daje, ale Bóg i słowo Jego.

Gdy, opatrzwszy, O. Makary wracał do rąk

króla oręż jego, Bolesław rzekł, patrząc nań z uszanowaniem:

— Po tysiąckroć, mój ojczy, wypróbowałem moc niepożytą tego cudownego mieczyka. Błogosławieństwu z nim przyniesionemu winienem moje szczęście w bojach, zwycięstwo i szeroko rozlegające się dziś państwa granice...

Pustelnik, nie nie odpowiadając, skłonił głowę i już miał odchodzić do swej krypty, gdy dało się słyszeć lekkie kołatanie do drzwi zewnętrznych.

V.

Dalsze przygody Karasia Michny.

Wojna z Niemcami. Donośna pomoc i kto został rycerzem na pobojuwisku?

Za chwilę zakonnik wpuścił do izby chłopca ubranego w kożuszek i w okręcone rzemykami chodaki z niewyprawionej skóry. Był to znajomy nasz, Michno Karaś. Otarłszy rękawem spadające mu z oczu łzy, ucałował pokornie ręce staruszka. Ten, pocałowawszy go w głowę pokrytą jasnemi włosy, rzekł:

— Jakaż przygoda sprowadza cię tu po nocy, mój synu? Dawnoś mi się nie pokazywał. Czego płaczesz? mów śmiało.

Chłopiec opowiedział, że pociot jego Włady-

bór, zbiwszy go straszliwie za to, że przyjął nową wiarę, nagabywał go ciągle, aby zwyczajem ojców uczcił dawne bogi, pokłon im oddał i razem z drugimi ofiary składał. Gdy tego nie chciał uczynić, a modlił się słowami nowego pacierza przed krzyżem, który sobie sam z drewna wystrugał, Władybór, przydybawszy go na modlitwie, zbił go znowu i wyrzucił na śnieg i mróz z chaty w Rybnikach, gdzie go Władyborowa u swoich krewnych litościwie schroniła. Zabronił mu przytem na zawsze do domu powracać.

— Bóg nasz wszechmocny i miłosierny nie opuści cię, mój synu—przemówił O. Makary—a ludzie dobrzy dopomogą.

— Co zacz ten chłopiec, mój ojczy?—zapytał król, uniósłszy się z posłania.

— Jest to mój nowochrzconiec, chłopczyzna dobry, uczciwy, sierota, którego udało mi się wyratować z pod śniegu—odpowiedział staruszek.

— Jak słyszę, biedne chłopię jest teraz bez domu i łomu—rzecze król—niechże tu u was, ojczy przebyduje do czasu, aż wróciwszy do siebie, przyszlę którego z dworzan po niego. Zapewnię mu pobyt i należyte wychowanie u siebie.

— Ucałuj, synku, stopy przezacnego gospodyna i króla naszego, który nad tobą miłosierdzie czyni.

I doprowadził nieśmiałego chłopca do posłania, gdzie ten z rozrzewnieniem ucałował nogi królewskie.

Wtem dał się słyszeć daleki szum puszczy,—zdawał się jakby rosnać, wzmacać i zmieniać w gło-

sy dziwne. Ojciec Makary, przysłuchując się temu, stanął w miejscu; król także podniósł głowę z posłania, gdy niespodzianie koń królewski, stojący pod ścianą, gwałtownie rzeć zaczął. Łomot i wrzawę coraz wyraźniej słyszeć było z boru.

Zamilkli, przysłuchując się baczniej, aż królowi rozjaśniło się lice. Wstał z posłania, przybliżył się ku oknu, odsunął okienniczkę i ujawszy róg, co mu na piersi wisiał, zatrafił. Okrzyk wesoły odpowiedział głosowi trąbki. Chatę otaczał orszak króla, który szukając go długo po lesie, śladami świeżemi konia, że księżyc zaświecił po północy, nareszcie dobił się tu na górę. Radość między dworem była niezmierna. Król strwożonym nieco, uznojonym przywódcom orszaku nie robił wymówek, iż go tak nieopatrznie opuścili. Poczuli się usprawiedliwiać.

— Nic się złego nie stało—rzekł, wskazując na staruszką. Świętego męża, co mi dał schronienie, powitajcie.

Poszli tedy urzędnicy królewscy ucałować rękę staruszkowi, który za chwilę wysunął się do podziemia. Służba pańska zakrzątnęła się zaraz około posłania i ognia, a co królowi było potrzebnem, w sakwach się znalazło. Bolesław kazał nakarmić do syta zbiedzzonego i zgłodniałego wielce Michnę. — W lepiance ledwie dwóch ze starszyny i chłopiec nasz przy królu na nocleg pozostać mogli; reszta położyła się jak mogła, dookoła chaty obozem dla spoczynku, dopóki nie rozedniało. Król twardym snem zmorzony usnął.

Z brzaskiem O. Makary przy światełku już jutrznię i modlitwy odmawiał po cichu. Król podniósł

się dopiero, gdy rozedniało; w kapliczce wraz ze starszymi sługami swymi i małym Michną Mszy świętej wysłuchał.—Na odjezdnem kazał chłopca otulić w burkę jednemu z dworzan i wziąć go przed siebie na konia. Poczem całując w rękę pustelnika, nim dosiadł swego kasztana, rzekł:

— Ojcie mój, pragnę po sobie pamiątkę jaką, choć ślad zostawić. Powiedz mi, proszę cię, co chcesz, abym dla ciebie lub tutaj na chwałę Pańską uczynił? Zbuduję kościół... choć, za prawdę, takiego jak wasz, gdybym nie wiem wiele złota dał, nie zdołam postawić.

— Dla mnie — odparł pustelnik — dajcie tylko dożyć tutaj dni moich spokojnie, a o chwale Pańskiej myślcie dalej, jak i teraz myślicie. I niech was Bóg szczęśliwie prowadzi, niech pociesza i ukaja. Ty zaś, mój chłopcze — dodał, zwracając się do Michny — pod tak dostojną opieką będziesz szczęśliwy. Módl się, a pracuj, Bóg ci dopomoże.

Poczem schyloną głowę króla i chłopca, który go obłapił za nogi, pobłogosławił pustelnik za progiem lepianki. Z kolei cały dwór królewski przyszedł po błogosławieństwo staruszka.

Nareszcie ruszyli lasami ku Gnieznu. Dnia tego tylko młodzież za zwierzem się puszczała. Bolesław do łowów, ani do rozmowy, nie miał ochoty.

* * *

Posuwamy się w głąb czasu o pięć lat później po opisanych zdarzeniach. Dwunastoletni Michno

oddany na dwór królewski w Poznaniu pod opiekę księdza Arona, opata Benedyktynów tynieckich, prawej ręki króla, rósł w bojaźni Bożej i w pracy, jak mu to dobry pustelnik zalecił. Zrazu umieszczony przy czeladzi pańskiej, wdrażał się w posługi dworskie. Potem, że chłopiec był gładki, roztropny, cichy i pracowity, został pokojowcem w komnatach królewskich. Przezacna królowa Emnilda, której dusza rosła szczęściem na widok nawróconej dla nowego Kościoła duszy, otoczyła swą łaską uczciwego chłopca. Z jej polecenia wyuczył się śpiewów pobożnych, kościelnych, a także pamiętała o przystojnej dla niego odzieży. Zás ojciec Aron kazał klerykom miejscowym wyuczyć Michnę ministrantury, że wrychle mógł służyć do Mszy, a także czytać i pisać po łacinie, gdyż języka polskiego nie uczono jeszcze wtedy u nas po szkołach, które tylko przy klasztorach istniały.

Michno prowadzeniem swoim umiał sobie zaskarbić łaski i przełożonego nad dworem pańskim Sieciecha. Ten, widząc, jak chłopiec czasu popisów rycerskich na podwórcach zamkowych z dziwną radością przygląda się ćwiczeniom i zabawom orężnym rycerzy, opatrzył go w łuk ze strzałami, w mały mieczyk i niewielką dzidę. Dzidą i z łuku uczył się trafiać do celu w tarczę, a mieczykiem wywijając i składać zręcznie z rówieśnikami. Powoli przywykł Michno i do konnej jazdy, zrazu na małych kucach, a powoli i na roślejszych koniach. W siedmnastym roku swego życia wyrósł na dzielnego, urodliwego junaka.

Wojna z Henrykiem II, cesarzem niemieckim, wybuchła na nowo. Wpadł on ze wszystkimi siłami swojemi i łupił polskie ziemie. Podsuwając się aż pod warowny gród Krosno, co leży nad rzeką Odrą, próbował zdobyć drugą warownię Głogów. na Śląsku.

Nim wyruszył, cały kraj już niezwłocznie o tem wiedział. Palone ognie i beczki ze smołą po grodach, wzgórzach i otwartych polach, jak to Bolesław urządził, ostrzegały o świeżym napadzie. Wysłane we wszystkie strony podwoły rozniosły rozkazy królewskie i w lot pod znaki Bolesława wiedli swoje powiaty kasztelanowie. Każdy, kto bronią robić był zdolny, z miast czy osad wiejskich, musiał stanąć do obrony kraju. Kmiecie i najubożsi wieśniacy, chłopci, strzegli zwykle grodów i zamków, dniem i nocą odprawiając stróżę. Wielka ich część jednakże wyćwiczyła się już składać hufce i zastępować nieprzyjacielowi, a niemiała także liczba kmieci, będąc dość zamożną, że mogła na koni siadać, z majątniejszymi, którzy szlachtą byli, już dzielne wojsko stanowiła. Rynsztunek bowiem wojenny, rycerski, był kosztownym, ale też rycerz dobrze uzbrojony stał za kilkadziesiąt takich, co się dość uzbroić nie mogli.

Lubo więc o wtargnięciu Henryka wszyscy zawczasu wiedzieli, jednakże król szczuplejszemi swojemi siłami na pograniczach Miśnji i Luzacji powstrzymać nie mógł pochodu niezmiernie licznych Niemców. Bolesław bowiem, oszczędzając swego ukochanego ludu i nawzajem przezeń kochany, nie wystawiał go nigdy na zgubę w nierównym boju. Podjazdami

tylko w takich razach szarpał i niszczył nieprzyjaciela. Tak też było i teraz. Henryk, nagabywany z boku, z tyłu i z przodu, wciąż niepokojony, ani jednej jeszcze warowni polskiej zdobyć nie mógł. Niszczył tylko i łupił nieobronne sioła i miasta.

By go wyparować ostatecznie ze swego kraju, Bolesław ściągnął poważne siły zewsząd, siadł na koń i wraz z synem Mieczysławem wyruszył w pole z Poznania. Hufcem nadwornym przybocznych rycerzy króla dowodził Sieciech.

Dawszy ucha usilnym prośbom młodego Michny, pozwolił mu Sieciech za zgodą króla wziąć ze zbrojowni młot żelazny, lżejszą zbroiczkę, a ze stajni dworskiej niezgorszego stępaka.

Wyruszono o świcie w dniu czerwcowym z Poznania—przy biciu kotłów i dźwięku tręb wojennych. Każdy wojak w jeździe był cały od stóp do głów pancerzem skórzanym, łuską żelazną naszywanym, okryty. Mieli też niektórzy ciężkie napierśniki żelazne. Tarcze pieszaków świeciły gwoździami i błyszczały blachami; po znakach ich, chorągwiach, każdy poczet i ziemię odgadnąć było można. Rycerze, a z nimi czeladź ich zbrojna i pieszacy zaśpiewali w drodze głosem ogólnym pieśń, którą nam św. Wojciech zostawił. Że każdy wojak przed bitwą zegnał się już z życiem, przeto pieśń ta bardzo odpowiednią dlań była, bo w niej się prosi Królowej Niebios o orędownictwo do Jej Syna, o duszne zbawienie.

„Boga Rodzico, dziewico,
Bogiem sławiona

Maryjo! u Swego Syna hospodyna
Matko zwolena!

Maryjo, ziści nam spust winam,
Kyrje elejson.

Pokilku dniach żwawego pochodu nastąpiło starcie z wojskiem niemieckiem. Już od czasów Ziemoysła i Mieczysława głośnie męstwo lechickiej szlachty i polzańskich mieszczan oraz kmieci, rozbrzmiewało i tu nad Odrą echem przeszłości. Król Bolesław nie umiał bitw przegrywać: spadał jak piorun na wroga, a niepohamowana jego waleczność i teraz natchnęła szaloną odwagą i wojaków jego. Wszyscy jak lwy się bili; liczne wojsko nieprzyjacielskie sromotnie pierzchnęło. W boju tym niemniej walecznie sprawał się i młody królewicz Mieszko; rąbiąc się z dwoma rycerzami niemieckimi, jednego zwałił z konia, lecz drugi, zabiegłszy z boku, już wzniosł topór po nad hełm jego i bezwątżenia byłby mu głowę rozplątał, gdyby nie pomoc niespodziewana. Widząc niebezpieczeństwo młodego państwa, nasz Michno odrywa się w samą porę od hufca dworzan królewskich, walczących jeszcze z wrogiem, i zręcznym rzutem swój młot żelazny prosto w głowę napastnikowi ciska. Zachwiał się rycerz, z okrwawioną twarzą z konia spada, a miecz Mieszków pod szyję mu się wszczepia. Widzieli nasi ten dzielny czyn Michny, donieśli o nim królowi, a król, zawdzięczając mu ocalenie syna, wkłada mu na pobjowisku złoty łańcuch na szyję i mianuje swoim przybocznym rycerzem.

VI.

**Stary wieszcz pogański. Nieszczęsne zgłiszcza.
Sąd królewski. Dwór Chrobrego. Straszny wyrok.
Wielkie serce młodego rycerza. Zakończenie.**

Bolesław, wróciwszy do stolicy, zajął się znowu dalszem urządzeniem kraju, zakładaniem nowych osad i przemienianiem dawniejszych na miasta do niemieckich podobne. Aby w nich rzemieślnicy osiadać mogli i handel podrastał, zwabiał król lud do takich osad różnemi uroczystościami i publicznemi ucztami, na których swoim kosztem liczne stoły zastawiał.

W czasie ostatniej wyprawy na Niemców i przepędzenia ich za rzekę Sałę, zdarzył się w kraju taki wypadek.

Gdy z rozkazu króla stanął był kościół wśród puszczy leśnej, jak to napomknął pustelnikowi O. Makaremu, a dzwony z wieżycy pierwszy raz się rozległy ponad wierzchołkami dębów i sosen, w uroczysku pod Rybnikami poruszyło się jak w ulu. Zapamiętały w swych obrzędach pogańskich Władybór zwołał dwunastu gęślarzy pod dąb Peruna, a z nimi wielu pogan okolicznych, i tak do nich przemówił:

— Słyszeliście, bracia, głośnie dzwony z czarodziejskiej świątyni wśród odwiecznej puszczy naszej. Jest to znak nowych nieszczęść dla naszych bogów. Dość już natopili ich i napalili ci nowi czarownicy

zamorscy w czarnych szatach. Wywracają nasze gonty-ny i przydrożne słupy, a w ich miejsce krzyże stawiają. Z nową ich wiarą przyjdzie zatracenie naszych bogów i bogiń ojczystych, naszych zwyczajów, żertw i pieśni odwiecznych! Z krzyżami napłyną obcy i zdławią nas tak, jak zdławił pobratymców naszych nad Łabą i het, w pomorskich krainach. Bracia moi! czyż dozwolimy, by na zgubę naszą krzyż nam pod bo-kiem stawiano?

— Nie pozwolimy! dość tego! nie pozwolimy! — huknął dokoła lud zgromadzony.

Tu na zachmurzonym niebie sierpniowem, wśród błyskawic, grzmot się rozległ ponury, a wichur wstrząsnął drzewami puszczy. Skorzystał z tego stary wieszcz i krzyknął:

— Słyszycie ten znak gniewu naszego boga piorunów? Czy rozumiecie tę głośną pobudkę do dzieła? Toż, na Peruna! ruszmy się bracia! schwyémy za oręż nasz stary i z główniami w ręku pójdźmy razem spa-lic i zniszczyć do szczętu nową czartów zamorskich świątnicę!

Rozległy się okrzyki wojenne. Gęślarze zagrali pieśń do pochodu. Niebawem ten i ów pobiegł po miecz miedziany, po tarcz starą, trójskórzaną, po sie-kierę bojową, osadzoną na drągu, oplecioną drutem miedzianym. Inni pochwycili w ręce tyczdła z boż-kami, a jeszcze inni rozżarzyli główne. Wkrótce przy muzyce gęślarzy wyruszyli z okrzykami w pò-chód ku nowo wzniesionemu kościołowi na wzgórzu. W kilka godzin szeroka łuna rozświeciła mrok pus-

czy; kościół ze złotem przyborami obrócono w perzynę. Szczęściem ksiądz i zakrystjan, ostrzeżeni zdala zbliżającym się zgiełkiem i widokiem rozpalo-nych główni, zdolali ująć w puszcę z życiem, lecz plebanję i domek zakrystjana zniszczono ze szczę-tem. Lepianki tylko pustelnika nie tknęli poganie.

Zawrzał Bolesław strasznym gniewem, gdy po wrócił z wojny, na wiadomość o spaleniu przez po-gan kościoła, który opatrzył tak bogato. Wysłał liczny poczet zbrojnych w puszcę. Ten spalił osadę Rybniki i sąsiednie sadyby pogańskie, a uroczysko i dąb otiarny z ogrodzeniem z ziemią zrównał. Wie-lu z pogan pochwycono, a między nimi i samego Władybora. Okutego w dyby i skrepowanego powro-zami wtrącono do więzienia pod wały zamkowe w Poznaniu. Tam miał czekać wyroku.

Król, objeżdżając czasu pokoju kraj, zagajał sądy pod lipą lub dębem; większe występki karał gardłem, za swawolę lub ucisk biedaków zapraszał panów do łaźni i tam różgami „łaźnię im sprawiał.“ Za pomniejsze przekroczenia dawał napomnienia, a zwaśnionych lu-bił godzić, zapraszając ich razem za stół biesiadny, gdzie po dniach paru przychodzili do zgody. — Te-raz, że to już było w twardej jesieni, zaznaczył ro-ki sądowe pod dachem swojego dworca. Pilniejsze sprawy wpłynęły na ich odwłokę.

Dworzec rycerski wojennego Bolesława roił się posłami ze wszech krajów, nieustannym gości napły-wem, duchowieństwem i żołnierzami. Z Rusi, Moraw, Czech, Chrobacji, Węgier, od pogańskich jeszcze

plemion słowiańskich, nieustannie szli tu jedni prosić, drudzy przepraszać, kłaniać się, dary nieść, łaski je-
dnać. Czterdzieści stołów gościnnych, powszednich
dni zastawionych, mieściło się w rozległym obok
dworca gmachu. Gromada podkomorzych, ^{cz}członków
i wszelkich urzędników dworskich czuwała nieustan-
nie, aby królewscy goście po królewsku byli podejmo-
wani. — Straż Bolesławowska, zamkowa, tak jak
każdy poczet wojsk królewskich, zbroją osobliwą,
orężem i barwą odznaczona, nie ustępowała cesar-
skiej. — Czeladź i pacholęta, na sposób francuski
i włoski, strój miały przepołowiony na dwoje: jedna
strona czerwoną, druga żółtą była, kaftany przez
plecy rozcięte na dwoje. Skórznie i trzewiki dwo-
rzan miały końce skówkami lśnjącymi nasadzone,
a boki szyte kwiecisto. Dostojniejsi dwoma łań-
cuchami złotymi na szyjach się odznacжали, a płaszcze
i kozuchy kosztowne, złotem lamowane, srebrem na-
szywane były; komornicy królewscy, gospodarze, mie-
li jeszcze łaski długie w rękę. Przepych był
wszędzie, król rad go na swym dworze oglądał;
z handlu zamiennego i z łupów wojennych starczyły
bogactwa nawet na srebrne beczki i konwie.—Wśród
tych jednak najwspanialszych strojów widać było
i nader proste odzienie władków i żupanów przyby-
łych z głębi kraju lub od krańców jego z gródków
zapadłych. Stali w kozuchach czarnych, w pasach
skórzanych i wełnianych, z ładajakim i niepozornym
orężem u boku, wcale się nie troszcząc o to, jak
wyglądali.

Wielu też książąt sprzymierzonych i pokrewnych mieszkało w gmachach zamkowych. W podwórcach jak na targu, dni uroczystych przez tłumy trudno było się przebić. Musiano też część dziedzińca sznurami ogradzać, aby codziennym turniejom i zabawom rycerskim, jakie pod okiem pańskim dla rozrywki jego się odbywały, miejsce zostawić swobodne.

W czasie uczty stawiano 40 stołów, obitych złotogłowie i blachami złotemi; schodziła też z dworca swojego do stołu królewskiego wraz z córkami i Mieszkiem królowa Emnilda. Była ona córką Dobromira, książęcia, którą już trzecią król zaślubił, a nad wszystkie szanował i kochał. Sama bardzo skromnie ubrana, zdrowia wátłego, pozwalała niewiastom i dziewczętom swego orszaku przystrajać się na uroczystości w złociste płaszcze, purpurowe i lazuruowe sukienki; przepych klejnotów, złotych łańcuchów, kołców odbijał się jak bogata oprawa żywego ich twarzy wieńca. — Przy stole królewskim siadywał i X. Aron, opat, powiernik króla, odmawiający przed i po obiedzie modlitwy.

Za niewiastami do izb gościnnych wchodziły pacholeta, niosące misy nad głowami i dzbany srebrne w rękach, nalewki, miednice i ręczniki. Potrawy były obfite, acz niewykwintne; kubki z winem, miodem, dzbany z piwem gęsto krążyły. — Ulubione psy królewskie otaczały stół i chciwie rzucały się na kości, które zwyczajem było rzucać na podłogę. Wesołek, karzeł mały, dziwacznie i pstro ubrany, starał się bawić i rozśmieszać wielkiego króla, gdy nieraz

wysokie jego czoło głębokie zasępiły myśli. — Pa-choleta z pochodniami w ręku rozświecali wnętrza izb wieczorami.

Po ucztach lub zwykłych obiadach niewiasty zaraz ustępowały do izb swoich, idąc szyć w krosnach, prząść lub zabawiać się śpiewem i gramii.

Zbliżał się dzień sądu pańskiego. Między innymi miał właśnie być sądzonym Władybór, który, przykuty do ściany, siedział w kajdanach od paru tygodni w więzieniu. — Michno, wróciwszy z wojny, dowiedział się o żałosnej doli swojego wuja i zmartwił się bardzo. Dobre jego serce już zapomniało o znęcaniu się nad nim tego zatwardziałego poganca. Bolał nad jego nieszczęściem, przewidując, że przypląci życiem, a niełatwo było przebłagać króla, gdy się na dobre rozgniewał.

W tem strapieniu udał się młodzieniec najprzód do swojego ojca chrzestnego X. Arona, z prośbą, by się wstawił za jego krewnym do króla o darowanie więzionemu życia. Czcigodny opat przyrzekł najpierw pomówić do króla, lecz za skutek nie ręczył.

Zalany łzami Michno udał się do dworca świętobliwej Emnildy; wszakżeż tyle już łask od niej doznał, no i Mieszkowi też pomógł, jak umiał, na wojnie, przeto może do króla się wstawi i litość jego wybłaga.

Jedna ze służebnych we wstępnej izbie, gotowych zawsze na usługi swej pani, poszła do niej oznajmić przybycie Michny. Dozwolono mu wejść poza zasłonę do komnaty królowej. Całe tam ścia-

ny zawieszono były obiciami przez nią samą szytymi. Krzyże na wszystkich stołach u ścian widać było, kropielniczka bronzowa wisiała u drzwi. Ołtarzyk domowy, z klęcznikiem, cały złotem obity blachami, miał krzyż ciężki u góry i dwa złociste także świeczniki. Naczynia mnogie świeciły na stołach; odstropu zawieszony był świecznik, z rogów jelenich misternie spleciony i ujęty złotem obręczami. — Królowa siedziała u gasnącego ogniska, krosna jej i robota stały obok. Na ślicznej, młodej, lecz zmizerowanej słabością zdrowia, twarzy rozlał się spokój chrześcijański i smutek łagodny. Ubrana była z zakonną prostotą w ciemną suknię, w czepcu białym, na którym lekki łańcuch złoty był opleciony.

Gdy wszedł młody Michno, dziś już w rycerski pas, przy którym wisiał mieczyk, ubrany, rzucił się do nóg królowej. Łagodnym głosem kazała mu powstać.

— Wiem już od czcigodnego ojca Arona, co cię trapi, mój chłopcze—rzekła—ciężka to sprawa! Władybór popełnił świętokradzką zbrodnię. Tłomaczy go trochę zaślepienie pogańskie. Aczkolwiek pan nasz nie zwykł przebaczać winnym zbezczeszczenia świętej naszej wiary, wszelako będę próbowała zmiekczyć gniew jego sprawiedliwy i choćby zmianę wyroku śmierci na więzienie ubłagać. Nie jest mi też tajemem, że Władybór okrutnym był twoim opiekunem, katował cię i wreszcie sierotę wygnał z domu w nocy na mróz ostry. Toż widzę, że zapomniałeś mu tego chłopcze?

— Miłościwa królowo! — odparł Michno. — Nie tylko mu odpuściłem wszystko, ale nawet wdzięczność dłań czuję za to jego postąpienie ze mną, boć owo wygnanie zrobiło mię dziś tem, czem z łaski Miłościwych Królestwa jestem.

— Sam sobie najwięcej winien jesteś, młodzieńcze — rzekła dobrotliwie Emnilda. — Jutro przed rozpoczęciem sądów staw się na dworze: wszystko troje, bo i ksiądz Aron z nami, będziemy błagali pana naszego o miłosierdzie. Idź przeto i módl się do Boga Ojca naszego o pomoc, boć to najlepszy opiekun strapionych ludzi. Ja także modlić się o to będę.

Jakoż nazajutrz od samego rana przybyło na dwór dwunastu sławnych panów rady i starszyzna wiejska z okolicy zwołana. Król miał sądzić nagromadzone sprawy, a między niemi wydać wyrok na Władybora, jako głównego przywódcę zbrojnego napadu i spalenia kościoła.

Wszedł król do izby sądowej, poprzelazony przez dworzanina i pacholków, którzy nieśli miecz, jabłko lazuruowe, świat wyobrażające, w złote pasy z krzyżykiem u góry; także i włócznię św. Maurycego, na berło przerobioną, nieśli na purpurowem wezgłowiu. — Bolesław, odziany w sobolową szatę, jedwabiem pokrytą, z kołpakiem o złotej obręczy na głowie, przyszedłszy tu ze swojej sypialni, obwieszanej bogatym orężem i złocistemi zbrojami, mając jeszcze pod spodem drugą suknię wełnianą, bramowaną złotem, a na nogach miękkie skórznie futrem obłożone, zasiadł na najwyższem krześle, okrytem purpu-

ra. U pasa błyszczał nieodstępny miecz, o rękojeści z kości białej, z pochwą złoconą. Brodę miał rozłożystą, ciemną jeszcze, jak i włos długi na głowie; — twarz ogorzałą, rumianą, ożywiało dwoje ciemnych, przenikliwych oczu; ramiona rozrosłe, pierś wydatna, zdradzały w nim niezwykłą siłę.

Siadł za stołem, w otoczeniu dwunastu wojewodów, panów-rady, których krzesła z drzewa misternie rzeźbione były, a naprzeciw każdego z nich dwanaście tarcz z oznakami ziem, którym przewodniczyli, i tyleż mieczy wisiało na ścianach. W końcu siedziała kmieca starszyna. Komornicy dworscy stali opodal, a przy drzwiach pachołkowie zbrojni we włócznie. Reszta dworu i ludu przybyłego stała w przedsieniach u drzwi otwartych.

Wszedł O. Aron, opat Benedyktynów tynieckich, którego król, powstawszy, pocałował w rękę, a obecni powstaniem z miejsc przywitali. Był to mężczyzna w czarnej sukni długiej, wzrostu słusznego, chudy, twarzy bladej, poważnej a myślącej. Król wysoko go szanował, a w sprawach najważniejszych nie bez niego nie poczynał.

Ojciec Aron, stanąwszy obok królewskiego krzesła, głośno wypowiedział modlitwę do Ducha świętego, by sędziom zesłał światło i pomoc w sprawiedliwym spraw osądzeniu.

Ledwie skończył modlitwę i usiadł na krześle obok Bolesława, gdy weszła królowa Emnilda, mając po za sobą dwie służebnice swoje. Ubrana była jak zawsze skromnie, tylko prócz kilku klejnotów, które

nakazywała jej włożyć dostojność, miała jeszcze złotą obrączkę w kształcie korony na głowie. Za nią wszedł nieśmiały Michno.

Powitawszy uprzejmem skinieniem głowy powstałych przed nią sędziów, zbliżyła się do króla, który ją pocałował w czoło, a ona. uniósłszy do ust rękę mężowską, na której głęboki złożyła pocałunek, pochylona z uszanowaniem, tak doń przemówiła:

— Miłościwy królu i panie nasz! racz mi wybaczyć, że nie wezwana, przed zagajeniem sądów, odważam się do ciebie wniesć prośbę, którą z ust tego młodziana posłyszysz, a któremu winni jesteśmy życie naszego Mieszka.

Po tych słowach stanęła obok królewskiego krzesła.

— Cóż powiesz junaku, jaką masz prośbę do mnie? — zapytał Bolesław Michny. — Radbym ją przyjąć łaskawie, jeśli to możliwem się okaże.

— Najmiłociwszy gospodynie! — przemówił drżącym głosem młodzian, upadłszy na kolana przed królem. — Tam w podziemiu jęczy starzec, mój krewny i niegdyś opiekun Władzybór, który za swój zbrodniczy postępek sprawiedliwie zasłużył na wyrok surowy. Wszelako racz na to baczyć, najmiłociwszy panie, że to poganin zaślepiony w błędach, który myślał, że dobrze czyni swojej ojczyźnie, pałac świątynię, bo ją uważał za sprawę wrogich nam sąsiadów, jak to wszyscy poganie nową świętą wiarę, której nie zrozumieli jeszcze, oceniają.

— O cóż więc prosisz? — zapytał król strasznie namarszczony.

— Błagam o darowanie mu życia, najmiłościvszy gospodynie.

— To być nie może! — odparł król porywczo, wciąż nachmurzony. — Powstań i słuchaj: maż zbrodnia i świętokradztwo ująć bezkarnie? Dla przykładu drugim, winowajca surowo sądzonym być musi. Wprowadzić zbrodnia! — zawołał Bolesław do komorników u drzwi stojących.

Za chwilę dał się słyszeć z przedsionka brzęk kajdan; zbrojni pachołkowie wprowadzili do izby sądowej starca z siwą, długą brodą, okutego i wynędzniałego na żółklej twarzy. Był prawie boso, w poszarpanych chodakach, a krótka jego siermęga płócienna, przepasana w stanie, z samych się prawie strzępów składała. — Jeden z komorników na wezwanie króla przedstawił sądowi szczegółowo przestępstwo Władybora.

Zapytani przez króla sędziowie, na co zasłużył rozbójnik i podpalacz domu Bożego? odpowiedzieli jednogłośnie:

— Winien jest śmierci!

Zachwiał się i zbladł młody Karaś; łzy mu gęstemi kroplami z oczu spadać zaczęły. Stary wieszcz opuścił smutnie głowę na piersi.

— Najjaśniejszy królu! — przemówił ks. opat — sądziliście jako sędziowie tego zaślepionego w błędach starca: osądźcież go teraz jako wyznawcy Chrystusa Pana. Wszakżeż to On, Zbawiciel nasz,

ten niewinny Baranek Boży, modlił się z krzyża swej męki w tych słowach błagalnych za oprawców swoich: „Przepuść im, Ojcze! bo nie wiedzą, co czynią.“

— Bóg Wszechmocny mocen jest przebaczać największym winowajcom — rzekł król — lecz sprawiedliwość ludzka musi karać za zbrodnie. Takie jest prawo nasze obyczajowe, a prawo szanowaniem być powinno. Ja sam mojemu osobistemu wrogowi przebaczyłbym chętnie, lecz ja tu sędzę w imię narodu, w imię wiary, którą nietylko ja sam wyznaję. Dobro tej wiary i porządek ogólny domagają się przykładnego ukarania, żądają śmierci winowajcy. On zginąć musi!

— Wielki nasz gospodynie! — zawołał ze łzami w oczach, padając znowu na kolana Michno przed królem. — Błagam, w prochu nurzając czoło, o litość dla mojego opiekuna. Niech będzie wygnan z kraju. niech odcierpi karę w więzieniu, niech ja wraz z nim w okowach wtrącony będę w podziemie, a ocal mu życie, najmiłościwszy królu i panie! Niechaj nie ginie śmiercią sromotną i nie gubi duszy swojej w pogańskim obłędzie. W imię Boga naszego miłosiernego o litość dlań zebrzę.

Starzec na te słowa błagalne młodego Karasia, wychowanka swojego, podniósł głowę pogrążoną w smutnej zadumie, i ze zdumieniem słuchał prośb tego, którego ongi, jak psa zdychającego, na śmieci wyrzucił z domu, któremu tyle krzywd wyrządził, bijąc go nie-miłosiernie...

Zanim król odpowiedzieć zdołał błagającemu



